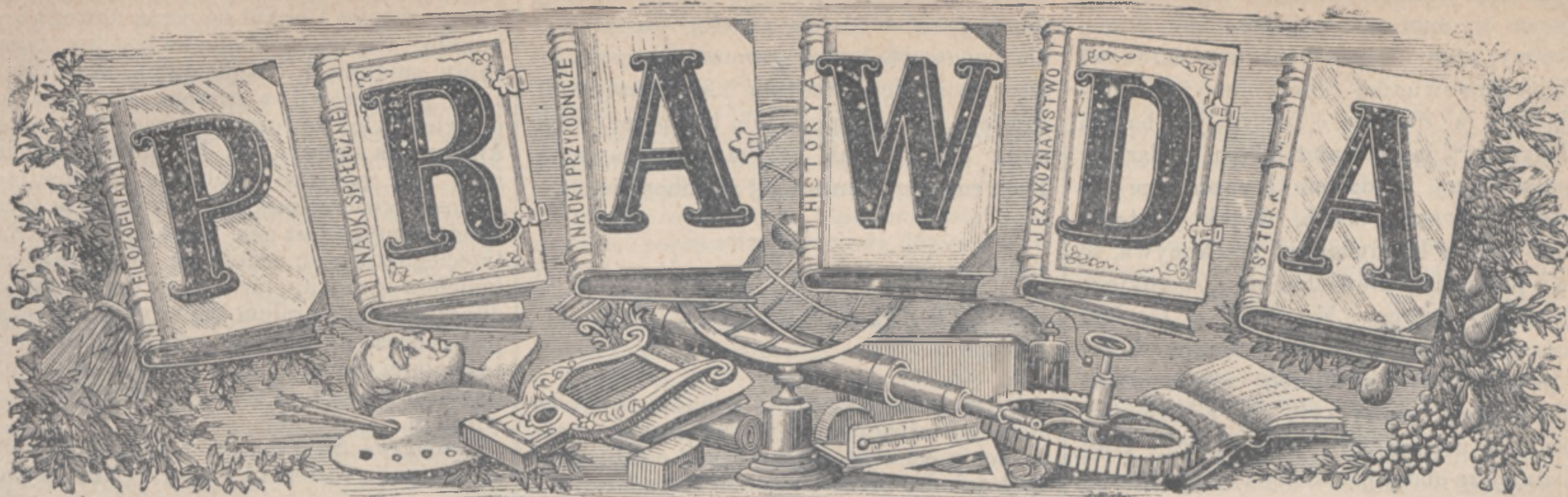
№ 50. Warszawa, dnia 10 Grudnia (28 Listopada) 1887 r. Rok VII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Złota Nr. 23.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Do numeru dzisiejszego dołączamy prospekt **Prawdy** na rok 1888 i prosimy szan. abonentów naszych o wczesne nadsyłanie przedpłaty. Przy końcu miesiąca bieżącego prześlemy prenumeratorom **rocznym** dodatek nadzwyczajny, pierwszą część **Historyi XIX w.** Ci, którzy trzymali pismo nasze tylko przez ostatni kwartał a pragną posiadać książkę, zechcą dopłacić rs. 1, którzy trzymali przez pół roku 75 kop., a przez trzy kwartały—k. 50.

Uwaga. Oprócz dodatku nadzwyczajnego, abonentom naszym należy się 5 arkuszy zwyczajnego. Ponieważ warunki wydawnicze i przepisy pocztowe nie pozwalają nam przesyłać odrazu dwu dodatków, zatem w pierwszym kwartale r. 1888 ów dodatek zwyczajny będzie powiększony i zawrze 11 arkuszy druku.

POLITYKA.

NOWY PREZYDENT.

Z otchłani walk, swarów, błota moralnego, które tem głośniej szumiało i pieniło się, im było gęstsze, wyszedł wreszcie nowy prezydent Rzeczypospolitej francuskiej — Sadi Carnot. Widowisko, które poprzedziło ten niespodziewany wybór, było egzaminem dojrzałości republikańskiej i politycznej narodu francuzkiego a zarazem lekcyą poglądową dla Europy. Sumując wrażenia, jakie ta lekcya wywołała, widzimy jasno bądź zachwianą wiarę w republikanizm, bądź wyraźną ku niemu odrazę. Począwszy od samej Francyi a skończywszy na ludach słabo ucywilizowanych, wszędzie objawił się w opinii publicznej niesmak i rozczarowanie nietylko do błotnistego wulkanu, który przez kilka tygodni w Paryżu buchał, ale do organizacyi państwowej, która go umożliwiła. Wulkan ten nadzwyczajnie przyćmił blask idei republikańskiej a wyznawców jej przekonał, że wcielenie jej francuskie będzie dla Europy tylko przykładem odstraszającym.

Rzeczywiście, trudno rzec, który żywioł w tym olbrzymim skandalu nie odegrał paskudnej roli. Przedstawiciele ładu albo zachowywali się bezwładnie i biernie, albo ośmieszali w wesołych śpiewkach z motłochem kłopoty Rzeczypospolitej; radykaliści otwarli w kolumnach swej prasy upusty kłamstw, oszczerstw i krzykliwej blagi; sam wreszcie Grévy, człowiek, który przez 50 lat życia publicznego umiał wysoko nosić swą godność, jak gdyby dla harmonii z marszem dzikich instynktów, okazał się małodusznym i ślepo, bez uwagi na tę godność do władzy przywiązanym niedołęgą. Niepodobna było bez przykrości patrzeć na niego w końcowym akcie tej tragikomedyi. Po rozpoczęciu procesu przeciw Wilsonowi, a zwłaszcza po kilku uchwałach Izby, wyraźnie wymierzonych przeciw naczelnikowi państwa, Grévy powinien był natychmiast podać się do dymisyi, i była chwila, w której uczynić to zamierzał i obiecał. Zbiera się więc ciało prawodawcze dla wysłuchania stanowczo już zapowiedzianego orędzia. Ku wielkiemu wszakże zdumieniu wszystkich ministrowie oświadczają, że prezydent postanowił zostać na swem stanowisku. Cóż było przyczyną nowego oporu? Oto radykaliści, obawiając się, ażeby do steru nie powołano nienawistnego im Ferrego, ofiarowali Grévemu swoje poparcie. I ten Grévy, którego oni przeciągnęli przez wszystkie rynsztoki potwarzy, którego policzkowali zarzutami przestępstw kryminalnych, którego odarli z czci, w namowie takich sprzymierzeńców dosłyszał „głosy narodu, zachęcające go do wytrwania." Trudno być mniej wrażliwym na krzywdy swego honoru i mniej wybredniejszym w sojusznikach! Była to już tak sromotna kompromitacya, że aż podśpiewujący, podskakujący i wrzeszczący kongres spoważniał. Nie przerywając swej sesyi, posłał ministrów do prezydenta z oświadczeniem, że czeka na jego dymisyę. Wtedy dopiero niedołężny i sponiewierany starzec złożył swoje orędzie. „Dopóki—powiada on w tem piśmie — czułem się skrępowany jedynie trudnościami, spiętrzonemi na mej drodze, głównie zaś *niemożnością* utworzenia gabinetu wskutek cofnięcia się mężów stanu, których głos Rzeczypospolitej powoływał do współdziałania *ze mną* (!), dopóty pozostawałem na swojem stanowisku. Wczorajsze uchwały obu Izb mają w oczach moich (nareszcie!) znaczenie *wezwania* do dymisyi. Miałbym prawo i *obowiązek* (!) pozostać, wszakże roztropność i patryotyzm doradzają mi w obecnych okolicznościach cofnięcie się dla uśmierzenia zatargów." Okropna spowiedź, usprawiedliwiająca zupełnie roznoszone po ulicach Paryża plakaty, zapraszające na pogrzeb „politycznie zmarłego prezydenta," w których wszakże należało dodać, że skończył samobójstwem. Bo czyż „niemożność utworzenia gabinetu" z ludzi, których „powoływał głos Rzeczypospolitej," czyż najwyraźniejsze oświadczenia tych mężów, że „z nim współdziałać" nie będą, czyż poprzednie uchwały Izb i artykuły prasy nie wytłomaczyły Grévemu, że stracił „obowiązek" a posiada tylko zachwiane i niepewne „prawo" trzymania się swego urzędu? Czyż on potrzebował jeszcze, ażeby mu kongres bez osłonek oznajmił: czekamy na twoją dymisyę? Grévy stracił nietylko stanowisko, ale i szacunek.

Na jego miejsce powołano SadiCarnota, kilkakrotnego ministra w różnych gabinetach, człowieka prawego, potomka „arystokracyi republikańskiej." Chociaż nad wnukiem słynnego członka Dyrektoryatu unosi

się odziedziczona chwała zdobnego imienia, chociaż on sam ma posiadać cnót wiele, wątpimy, ażeby dogodził zarówno narodowi żądającemu świetnej reprezentacyi i rozmyślającemu z *Figarem* o „przyszłych balach w Elizeum,“ jak również Izbom, podartym i połamanym na drobne i zażerające się partye. Już sam sposób, w jaki rozstrzygnięto wyścig kandydatów, przekonywa, że nowy prezydent nie będzie miał szerokiego i trwałego oparcia. Wyszedł on bowiem nie ze zgody stronnictw, nie z uznania dla jego przymiotów i uzdolnień, nie z wiary w jego talent polityczny, ale z harmidru, kłótni, z uciszającego walkę trafu. Dwa najsilniejsze obozy postawiły Ferrego i Freycineta, a ponieważ żaden z nich zwyciężyć nie mógł, więc ażeby żadna strona nie odniosła tryumfu, wybrano trzeciego, „obojętnego“ dla obu Carnota. Dzięki nierozstrzygniętej bójce, ów „obojętny,“ który w przedwstępnem głosowaniu miał gałek kilkadziesiąt,“ dostał ich w ostatecznem kilkaset. Smutny to „dowód zaufania“ i Carnot dziękując zań przedstawicielom narodu, jeśli nie był odurzony niespodzianką, musiał uczuć gorycz w sercu. Nie osładzają mu jej powinszowania prasy, które wysławiają jego czysty charakter i dowodzą, że dla Rzeczypospolitej jest nawet lepszy umysł mierny, niż wybitny. Charakter jest klejnotem cennym i męża stanu zdobi pięknie; ale naczelnik państwa nie może obyć się bez talentu politycznego, zwłaszcza w narodzie lekkomyślnym, do zaburzeń i przewrotów skłonnym, który formą swych rządów raczej się odurza i demoralizuje, niż krzepi, i który zapamiętu sposoby strącania prezydenta i nieraz skorzystać z nich zechce. Pomimo słusznej życzliwości dla Carnota, daremnie on dotąd klei nią nowy gabinet, który mu rozrywają stronnicze zawiści. Sprawiwszy sobie bowiem nową głowę państwa, Francya rozpoczęła oplatać ją cierniowym wieńcem i sprawdzać wzgardliwą maksymę Bismarka o europejskich parlamentach. Daremnie nawet Gambetta kiełznał ten rozhukany tabun przedstawicieli narodu; dla sprzężenia i opanowania tej gromady potrzeba jeszcze większego umysłu i silniejszej woli. Francya, jak chłopka, lubi być przez swego męża bitą, a jak paryżanka — bawioną. Tych rozkoszy Carnot jej nie obiecuje.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Przez pewien czas nie wiadomo było, co niemcy bardziej zajmuje: czy projekt podniesienia ceł zbożowych i wieść o fałszowanych jakoby przez Orleanów listach i depeszach do rządu ruskiego, czy też sprawa miejsca ks. Bismarka przy obiedzie dworskim. Według regulaminu, jeżeli obiad ten jest wojskowym, naprzeciw cesarza siedzi minister wojny, jeżeli politycznym — kanclerz państwa. Tymczasem przy uczcie wydanej dla Najjaśniejszego Pana, ks. Bismarkowi wyznaczono jakieś miejsce oddalone. Kto go zna i pamięta, jak ściśle swych upośledzeń dochodzi, ten zrozumie, że zawrzał strasznym gniewem. Podwładne mu dzienniki zamieściły szereg pogróżek i wymysłów, marszałek dworu dostał burę i pojechał z przeproszeniem do Friedrichsruhe, gdzie go nie przyjęto — słowem, wywiązała się poważna kwestya, która niemców drażniła ciekawością i napełniała zgrozą. Niejeden z nich aż lękał się pomyśleć, że ktoś śmiał wielkiemu Bismarkowi odmówić należnego miejsca przy stole.

Jego posłuchanie u Monarchy ruskiego wciąż jeszcze jest przedmiotem objaśnień, domysłów i szerokich wywodów. Niemal powszechna opinia przypisuje temu spotkaniu ważność polityczną i doniosłe następstwa. Mówiono nawet, że hr. Herbert Bismark miał jechać do Petersburga, ale prasa urzędowa zaprzeczyła pogłoskom, nie zbijając innej, że do tego celu wybrany został inny, niższego stopnia urzędnik.

Uwadze dzienników wymknęła się ciekawa i dla stosunków niemieckich charakterystyczna sprawa. Redaktor gazety *Volkszeitung*, obrażony przez Bismarka w mowie parlamentarnej, wytoczył mu proces. Wszystkie jednak instancye sądowe, do których się zwracał, skargi przyjąć nie chciały. Ale wytrwały człowiek nie zrażał się tą odmową i pukał do coraz nowego trybunału. Nareszcie znalazł właściwy: generalny auditoriat (wojskowy). Naturalnie i ten go odprawił z niczem, ale redaktor osiągnął tyle, że rozwiązał zagadkę: przed kim można skarżyć ks. Bismarka, i wyciągnął dla pożytku ogólnego następujące wnioski: zwierzchnikiem kanclerza w sprawach karnych jest gen. kawaleryi, dowódca trzeciego korpusu armii, hr. Wartensleben; kanclerz sprawuje urząd cywilny a jest jednocześnie generałem czynnym, a chociaż jest generałem, posiada prawo wyborcze — i tak dalej snują się sprzeczności, które ów redaktor poleca do zbadania uczonym prawnikom.

Journ. de St. Petersb., winszując Francyi zakończenia rozterki i wyboru Carnota protestuje przeciwko „posługiwaniu się imieniem Rosyi w celach propagandy wyborczej i agitacyi stronniczej. Takie nadużycia — mówi organ ministeryalny — najenergiczniej potępiamy i ostrzegamy publiczność francuzką, aby uniknęła mylnego sądu w ocenie współczucia, z jakiem rusey zapatrują się na przesilenie wewnętrzne Francyi. Współczucie to jest serdeczne, ale ściśle ogranicza się na szczerem życzeniu, aby Francya pomyślnie przetrwała wynikłe w jej łonie przesilenie w interesie ogólnego porządku i spokoju.“

Uchwała Rady państwa pozwala zagranicznym towarzystwom akcyjnym, działającym w Rosyi bez specyalnego upoważnienia, starać się o pozwolenie na rok przyszły.

Kongres amerykański został otwarty. Między innymi ma być wniesiony bil, ograniczający napływ cudzoziemców.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z DZIEJÓW CHŁOSTY.

II.

Złagodzenie kar przy wymiarze sprawiedliwości datuje się od wielkiej rewolucyi francuskiej. I po tym czasie jednak, a nawet o wiele bliżej naszej epoki, byli teoretycy i praktycy — między innymi znany

---

KAPRAL

(GAWĘDA).

Piękny to kraj Bułgarya! Żebym sto lat przeżył, nie zapomnę rzeki Jantry: malutеczka, trochę większa od Wilejki, ale cóż to za piękność!.. Jak się zwija, jakimi otoczona jary: ich boki to stoją piętrami, jak kilkanaście domów jeden na drugim, to okryte winogronami, długim spadem ciągną się ku rzece; a między zielenią to sterczą chałupki, to czerni się urwisko, to bieli się monaster.

Trzeba wam wiedzieć, że byłem kapralem saperów.

Otóż razu jednego kazano nam wyruszać. Uszykowałem mój pluton, przyłączyłem do kompanii i marsz. Jaki taki mruknął: choćby ranka doczekać, co za paskudna noc! Ofuknąłem głupich, bo naczelnicy lepiej od nas wiedzą, jak postępować.

Ruszyliśmy tedy. Idąc, zamyśliłem się to o tem, to o owem: przypomniało się czegoś gniazdo bocianie, co na końcu naszej wioski tkwi na lipie; strumień, który ogrody przerzyna; brzózka, co wedle gumna szumi. Spojrzałem w górę: tam księżyc duży, lśniący, zamyślony; niebo szafirowe jak sufit w naszej kaplicy, gwiazdy jaskrawe płoną, mrugają i niby mówią: a chodźże do nas człowiecze, a czego włóczysz się po ziemi! Spojrzałem w dół: Jantra połyskuje, zwija się między krzewami i coś z cicha szemrze, a tak rzewnie, aż w sercu zadudniało — jak gdyby dobosz w niem siedział; nie zgadłem, że to było przeczucie, bo człowiek marny nic nie wie. Otrząsnąłem się, spojrzałem w tył: żołnierze półdrzemiący ciągnęli jak żórawie jeden za drugim. Krzyknąłem: nie rozciągać kolumny, przyspieszyć kroku!.. i uderzywszy dla taktu kilka razy nogą o grunt, ruszyłem naprzód.

Znowu zamyśliłem się i najwyraźniej widziałem całą naszą wioskę, wszystkich sąsiadów, małą siostrę, matkę, nasze błękitnawo-szare niebo... A tak przyjemnie było dumać o tym skromnym kolorze, że gdym spojrzał na jaskrawy błękit nade mną, wydał mi się ponurym i pomyślałem w duchu, dlaczego to człowiek nie może stać się ptakiem? Poleciałbym, spojrzał na wioskę, szepnąłbym choć jedno słówko braciom, uścisnąłbym starą matulę, siostrzyczkę i znowu powróciłbym do szeregu. Drgnąłem, bo przeczułem w tej chwili, że po mej twarzy łza się toczy. Odchrząknąłem i pomyślałem: chwała Bogu, że mroczno... inaczej, choć pod ziemię skryj się od wiarusów — coby pomyśleli o kapralu.

Nad ranem weszliśmy do Bialicy. Oddzielono straż; mój pluton naznaczono na wartę od nieprzyjacielskiej strony. Rozstawiłem tedy jedną część żołnierzy na dróżynach, wzgórkach, na moście — drugą w namiotach nad Jantrą; sam usiadłem przed wioszczyną na kamieniu.

Zbliżał się dzień. Na całym wschodzie rozlała się zorza i pomyślałem znowu: chociaż ładna była noc, niebo aż rumieni się z radości, że słońce ku niemu powraca; ot zupełnie tak samo, jak moja matka, gdym wrócił z wojska do domu. Przypomniało się potem, jak żegnała mnie przed pochodem, jak całowała... w kościołku naszym dzwonek odzywał się tak smutno, kruk, unosząc się w powietrze, krakał ponuro, wiatr trząsł gałęziami drzew, Burek skomlił u moich nóg żałośnie, siostra z zaspaną twarzyczką patrzyła przerażonemi oczami, a jaskółka, szybując nad moją głową, kwiliła: siedź, siedź!.. Wszystko sobie przypomniałem.

Tymczasem w Bialicy krzątanina nie ustawała. Żołnierze po bezsennej nocy szukali kątów do wytchnienia, a gospodarze, zasunąwszy ręce za szerokie pasy, na pozór spokojni, niewzruszeni, przesuwając się po wiosce, przypatrywali się każdej ich czynności. Pomyślałem tedy: jak ta ziemia wiele musiała ucierpieć od niewiernych, jeśli ci ludzie i teraz nie śmieją cieszyć się, a nawet jak gdyby nie dowierzając temu, co się dzieje przed ich oczami.

Usłyszałem lekkie kroki. Spojrzałem: dzieweczka wysoka a zwinna, jak pierwszy

z wstecznictwa autor filozofii prawa i mąż stanu pruski Fryderyk Juliusz Stahl (1852)— którzy twierdzili, że chłosta dla ludu prostego jest wymogiem porządku boskiego i sprawiedliwości, oraz że odrzucenie tej kary opiera się wyłącznie na głoszonej przez rewolucyę, fałszywej zasadzie ubóstwiania człowieka. Ogrzewające promienie wschodzącego słońca humanizmu pod koniec ośmnastego wieku padły i na szkołę. Zwłaszcza Pestalozzi słusznie zasługuje na miano zbawiciela dzieci. Głównie dzięki jemu, rozumni pedagogowie uznali dziś za możliwe wziąć rozbrat z rózgą i kijem. Wszelako i na tem polu nie brak przedstawicieli dawnego stanu rzeczy, czyli, jak dowcipnie wyraża się autor, „świadomych i nieświadomych agentów starej firmy Zacofanie i spółka (Rückwärts und Compagnie“). Jako przykład przytacza ustęp z czasopisma niemieckiego *Volksschulfreund* za r. 1868 (nr 14). „Wychowując nas — powiedziano tam — Bóg stosuje przedewszystkiem kary cielesne; chłosty zawsze jest podostatkiem w Jego zakładzie, a ciosy zadaje nam bardzo często; kara cielesna przeto odpowiada myśli i duchowi pedagogiki boskiej.“ Głowa, która zrodziła taki pogląd— dodaje anonim— niewątpliwie powinna być zakonserwowaną w spirytusie i wystawioną na okaz w jednem z najprzedniejszych muzeów pedagogicznych! Podczas gdy w Niemczech kwestya dopuszczalności chłosty w szkole jeszcze nie została rozstrzygniętą i nieraz tak dziwacznymi, jak powyższy, popieraną jest argumentami — we Francyi ustawa szkolna z 7 czerwca 1880 r. stanowczo wzbroniła używania tej kary.

Przechodząc do rozumowań samodzielnych, autor zwraca uwagę, że zdanie, jakoby zbyt humanitarne prawodawstwo dzisiejsze główną miało być przyczyną wszelkiego żebractwa i włóczęgostwa, nieobyczajności, nieokrzesania i przestępstw — tylu również ma zwolenników, co inne, które wszelkie krzywdy społeczeństw każe kłaść na karb niewiary i usuwać je przy pomocy kościoła jedynie. „Więcej religii i wyznaniowości!“ — wołają jedni; „więcej surowości i chłosty!“ mówią drudzy. Gdyby głosom podobnym przyznać uprawnienie, należałoby w konsekwencyi zgodzić się i na to, że „dawne dobre czasy,“ które w kodeksach swoich miały tortury, koła i obcęgi rozpalone, pod względem obyczajowym wprost mogły służyć za wzór. Historya wszelako zupełnie przeciwne przynosi nam dowody. Nigdy niemoralność nie była bardziej upowszechnioną, nigdy niepewność większą, jak w owych smutnych epokach właśnie, w których sprawiedliwość dosięgła szczytu okrucieństwa, a kościół prawomyślny wszelkimi dostępnymi mu środkami przymusu miał możność przeciągania „wielbłąda w postaci dogmatu przez ucho igielne zwane rozumem.“ Opłakane stosunki moralne poprawiły się wtedy dopiero, kiedy system okrucieństwa w wymiarze sprawiedliwości ustąpił miejsca łagodniejszym i światlejszym zasadom, nauki moralne zaś, niezależnie od dawnych, przeżytych dogmatów, szeroką sobie wśród ludu zdobyły podstawę. Z dziejów wypływa jasno, że brutalne nadużywanie siły jest śmiercią sprawiedliwości i że z nasion okrucieństwa nigdy szlachetny owoc obyczajowości wyhodować się nie da. Autor spytał raz osiwiałego w służbie wojennej stróża, co czuje, gdy mu przyjdzie wykonać rozkaz wymierzenia kary cielesnej. „Nie uwierzysz pan— miał tenże odpowiedzieć — z jaką niechęcią zabierałem się początkowo do procedury podobnej, jak gwałtownie wzdrygała się wewnętrzna natura moja na myśl, że mam bić człowieka bezbronnego, mocno do ławki przysznurowanego, który mi nie wyrządził nic złego. Prawda — dodał — że uczucia te z biegiem czasu, w skutek częstego praktykowania nieszczęsnego rzemiosła, pierzchły zwolna, pozostawiając pewien rodzaj świadomości rzeźniczej.“ Wyznanie to dosadnie przekonywa, że kara cielesna nietylko poniża i zezwierzęca stronę bierną, ale i czynną, że ona nigdy i nigdzie nie odpowiada etycznemu celowi społeczeństwa ludzkiego. Kara zaś, która nie prowadzi do poprawy i oczyszczenia wiedzy moralnej, która celów etycznych wcale nie uwzględnia, nie może nigdy rościć prawa do dopuszczalności. „Prawo karne — jak pięknie powiedział Ihering — jest punktem węzłowym, w którym zbiegają się najcieńsze i najdelikatniejsze nerwy i żyły i w którym odczutem zostaje i zewnętrznie uwidocznionem każde wrażenie i uczucie każde. Jest ono obliczem prawa, na którem okazuje się cała indywidualność narodu, jego myśl i uczucie, jego usposobienie i namiętność, jego uobyczajenie i szorstkość, słowem, na którem odzwierciedla się jego dusza.“

Kto chorobę jakąś uleczyć pragnie, musi koniecznie zbadać jej przyczyny i odpowiednie stosować środki. Jeżeli skutecznie ma być położoną tama szerzącemu się wciąż zdziczeniu ludzi i nieokrzesaniu, wypada wobec powagi i ważności sprawy, dociec przedewszystkiem, jakie są czynniki powodujące zwyrodnienie namiętności ludzkich, rodzące występek i wywołujące zbrodnie najrozmaitsze. A kto jasnym wzrokiem spogląda na świat dzisiejszy i jego koleje, ten pomimowoli nabiera przekonania, iż społeczeństwo znaczną ma część winy w zasmucających zjawiskach upadku moralnego, o tyle mianowicie, o ile zjawiska te są wypływem panujących w społeczeństwie niedostatecznych, niewesołych i rozpaczliwych prawdziwie stosunków. Ogromna ilość nędzy materyalnej z jednej, jako i zaniedbane, złe wychowanie z drugiej strony — tworzą główne źródła ruiny moralnej. Źródła te należy usunąć — ale potrzebne tu są inne środki, aniżeli baty i rózgi. Ażeby człowieka podnieść moralnie, pożądanem jest dobre wychowanie, które dziecku chleb duchowy podaje czystym i niesfałszowanym i uważa je za istotę myślącą, czującą i chcącą we wszystkich momentach życia. Gdzie wszakże umysłowi dziecięcemu w formie prawdy narzucane bywają przeciwne rozumowi nauki, tam wychowanie pracuje w usługach niemoralności, gdyż człowiek tak wychowany, doszedłszy później do świadomości i popadłszy w wątpliwość — niechybnie narażonym będzie na niebezpieczeństwo utraty wszelkiej podstawy moralnej. Dla zapobieżenia możliwości podobnej, autor radzi uprzątnąć z dziedziny wychowania wszelkie demoralizujące kłamstwa i hipokryzye. „Czyliż nie jest wprost szaleństwem — mówi, ilustrując przykładami to zapatrywanie swoje — gdy nauczyciel jednego dnia stara się wyjaśnić, że Bóg jest duchem, którego w myśli i prawdzie uwielbiać należy, nazajutrz zaś tenże sam nauczyciel tymże uczniom opowiada, że ten sam Bóg pozostawał w ożywionych stosunkach osobistych z praojcem Abrahamem, jadł bułki i pieczeń cielęcą? (patrz I ks. Mojżesza, rozdz. 18, wiersz 1—8). Czego się nauczy dziecko, jeżeli na jednej lekcyi wykłada mu się pogląd, mający być niewzruszonym rezultatem wiedzy, któremu się na drugiej wprost zaprzecza?“ Szkoła, zdaniem jego, powinna przestać być paziem prawomyślności i raz na zawsze zerwać niefortunny związek swój z koszarami. To ostatnie stosuje specyalnie do szkół niemieckich, stawiając wniosek zniesienia w nich śpiewania pieśni wojennych i żoł-

---

gimnastyk w batalionie, idzie od strony wioski ku rzece. Na ramieniu miała skorupę od arbuza, wydłużoną nakształt dzbanka. Podobną była z tem naczyniem do Rebeki u studni, jak to na obrazkach malują. Omijając mnie, skinęła główką poufale, jak siostra. Przystanęła i oglądając się ciekawie, zapytała:

— A kogo to acan wygląda?

Zerwałem się i przez zapomnienie przykładając rękę do czapki, jak przed naczelnikiem, rzekłem:

— Mój pluton na straży.

— Tak, tak — kiwnęła główką z uśmiechem i pobiegła jak sarneczka, a bujny, szary warkocz zwijał się za nią i szeleścił jak buńczuk.

Spuściła się ku rzece, zaczerpnęła wody i podniósłszy dzbanek na ramię — giętka i wyniosła szła napowrót. Zatrzymałem oddech i patrzyłem: wiele to człek widział na bożym świecie, ale takiej dziewczyny nie było i nie będzie. Czy ładna? Kto ją wie: twarz miała śniadą, oczy iskrzące, usta uśmiechnięte. Omijając mnie, znów przyjaźnie kiwnęła główką... Odkłoniłem się i patrzyłem za nią, aż zaszła za wystający pagórek. Jeden raz jej główka ukazała się z za wzgórza i znikła; długo patrzyłem, czy nie wyjrzy jeszcze — znikła.

Usiadłem na kamieniu, zwróciłem wzrok na wschód i widzę — promyki słońca iskrzą się, jak jej oczy, a niebo pogodne, jak jej czoło; słyszę: drzewa na wzgórzach szumią jak jej warkocz, ptaszek świergocze jej głosem, mianowicie jeden, jakiś malutki, trzepocąc skrzydełkami, powtarzał wciąż: tak, tak!.. Skoczyłem, przeżegnałem się i poszedłszy do gefrejtera, kazałem zmienić szyldwachy.

Gdyśmy wrócili z czat, wiarusy nawpół rozebrani rzucili się do snu; ja ległem także, lecz długo nie mogłem usnąć; to zdawało mi się, że słyszę pobudkę, to majaczyło, że jestem w domu i widzę, jak matka blada, smutna staje nade mną i mówi: Andrzeju, nie śpij, dziś musisz iść do wojska; to znowu widziałem śniadą dziewczynę, która pytała: a kogo to acan wygląda?.. Nareszcie usnąłem.

Nazajutrz czułem się jednak rzeźwym i tak mi było wesoło, jak gdyby w sercu grała kapela całej dywizyi. Po obiedzie poszedłem na pole, het za wioskę; przypatrywałem się pagórkom, lasom... Długo stałem nad brzegiem Jantry i oglądając, jak prądy jej zwijają się między kamyczkami, pomyślałem sobie: ot może woda, co kręci się w tym wirku, była niegdyś w naszym strumieniu — może chmura ją wyssała i przyniosła aż tutaj i stąd porwane krople może dziś płyną przez naszą wioskę.

Raptem usłyszałem trwożliwy wykrzyk: „precz!“ Drgnąłem, bo zdało mi się, że głos był znajomy; zmiarkowałem, że wychodzi z chrustów, co rosły na wzgórzu. W kilku skokach byłem tam. Za krzewami rozwijała się ścieżka, a na niej ujrzałem znajomą bułgarkę i dwóch młodych kozaków, wlokących przez swawolę, że ją łowią. Dziewczyna rozpaczliwie rzucała się w strony, a ci przybliżali się natarczywie.

— Nie gniewaj się piękna — rzekł starszy z nich, udając powagę — my tu stoimy na straży i nikogo bez okupu nie przepuścimy. Pocałuj nas obu i idź z Bogiem.

To mówiąc, z rękami rozwartemi posuwali się ku niej.

Cofnęła się, porwała z ziemi kamień i blada, z zaciśniętemi ustami, stanęła jak wryta.

— A czyż to można bratuszków tak witać?.. za chleb kamieniem płacić? — rzekł jeden z nich, chcąc w żart obrócić zamiar dziewczyny.

— Podejdźcie!.. — rzekła stanowczo, lecz głos jej zadrżał.

Chłopaki, patrząc jeden na drugiego, zdawali się naradzać, jak mają postąpić. Wysunęłam się z chrustu i zapytałem surowo:

— Co to znaczy?

Dziewczyna w jednej chwili rzuciła się ku mnie i uczepiła rękawa. Żołnierze, ujrzawszy kaprala, zmieszali się i przyłożywszy rękę do czoła, zaczęli tłomaczyć się, że żartowali. Ofuknąłem ich i przypomniałem, że

nierskich. Wniosek popiera faktem następującym: Jednego dnia w czasie lekcyi nauczyciel zastanawia się nad przypowieścią o miłosiernym samarytaninie. Z zapałem mówi dzieciom o miłości bliźniego, dowodzi, że wszyscy ludzie są braćmi i mają obowiązek do wszelkich stosunków życia swego i bytu wnieść ducha nauki i przykładu Chrystusa: miłość najwyższą i miłosierdzie. Zaraz nazajutrz znów z powodu obchodu rocznicy Sedanu ten sam nauczyciel, z tej samej katedry i do tych samych dzieci zwraca się ze słowami wprost przeciwnego znaczenia. Ze stanowiska patryotycznego wychodząc, przedstawia im naród własny jako „jedynie prawdziwego Jakóba,“ pozostałe zaś, jako wyuzdane hordy barbarzyńców, podnieca namiętność i nienawiść międzynarodową, „ową roślinę wschodzącą na śmieciach brutalności i zarozumiałego samoprzeceniania.“ Jak — zapytuje autor — historya ma być mistrzynią ludzkości, kiedy wykłada się ją nie z punktu widzenia obyczajowego i duchowego, ale powodując się dzikością zwierzęcą i dziecinnemi przechwałkami? „Dopóki — kończy — wychowanie nasze musi być na stopie wojennej ze swobodnem badaniem i rozumną myślą, dopóki sposób wychowania tego zadawać będzie gwałt brutalny rozwojowi umysłowemu i moralnemu i zdławiać w dziecku ducha niezależnego — dopóty bujnie rozrastać się będą surowość obyczajów i przestępstwa wszelkiego rodzaju i nic a nic nie poradzą na to żadne, choćby najdalej posunięte obostrzenia karne.“

Książeczka ta, pisana z werwą i humorem, ze wszech miar zasługuje na uważne przeczytanie.

Ad. J. Cohn.

SPRAWY EKONOMICZNE.

POSTĘP WIEDZY TECHNICZNEJ.

II.

„Gdzie cienko, tam się rwie“—tem przysłowiem powinniby się pocieszać cukrownicy. Nie dość, że ledwie sami sobie mogą dać radę, że ciężkie czasy nauczyły ich koleżeństwa, zmusiły do podania wzajemnie dłoni w imię wysoce patryotycznej zasady: „odbijmy nasze straty (a względnie: poprawmy nasze błędy) na skórze naszych ziomków,“ nie dość tego wszystkiego — powtarzam: prawie pod ręką urasta im jeszcze nowy konkurent.

Oprócz cukru zwykłego, zwanego inaczej trzcinowym, znamy oddawna jeszcze kilka innych odmian tej substancyi. Z pomiędzy nich na szczególną uwagę zasługują: cukier gronowy, skrobiowy i słodowy; w ważniejszych swych własnościach ostatnie trzy odmiany są bardzo do siebie podobne, a różnią się tylko w cechach drugorzędnych. Cukier gronowy znajduje się w słodkich sokach owoców, skrobiowy i słodowy można otrzymać ze skrobi (krochmalu, mączki). Gdy cukier trzcinowy napotykamy tylko w niektórych roślinach — burakach, trzcinie cukrowej, klonie i kilku innych mniej znanych, skrobia należy do ciał najwięcej rozpowszechnionych w przyrodzie; stanowi ona najważniejszą składową część ziarn zbożowych, ziemniaków, kasztanów i wielu innych płodów i korzeni roślinnych. Ze względu na takie rozpowszechnienie skrobi cukier z niej otrzymany powinien odznaczać się taniością; nie mógł on jednak zastąpić trzcinowego, albowiem nie dorównywał mu w najkardynalniejszej jego własności — słodyczy. Według Herzfelda i Schmidta 153 części cukru skrobiowego odpowiadają co do słodyczy tylko 100 częściom trzcinowego, tj., jeżeli do osłodzenia jakiejś potrawy potrzeba 100 gr. cukru zwykłego, to skrobiowego potrzebaby zużyć 153 gr.

Drugim niedostatkiem pomienionych odmian jest trudność otrzymania ich w czystym stanie. Obok skrobi w roślinach znajdują się jeszcze inne ciała; przy wyrobie cukru skrobiowego scukrzają mączkę za pomocą kwasów (najczęściej bywa używanym siarczany); cukier słodowy otrzymują przez scukrzenie skrobi słodem; działa przytem szczególny ferment, w słodzie zwany diastazą.

Jak w pierwszym, tak i w drugim wypadku obok scukrzonej skrobi pozostają w soku ciała obce; cukier oddziela się od nich przez krystalizacyę. Lecz krystalizacya odbywa się tu bardzo powolnie, tworzą się zwykle tylko drobne kryształki, zawierające dużo wody; następnie trudno je oddzielić od przymieszek, pociągniętych podczas krystalizacyi z roztworu. Do niedawna jeszcze najczystszy cukier skrobiowy zawierał do 25% swej wagi ciał obcych, a wskutek tego i wygląd jego zewnętrzny niezbyt był pociągający: to też miał on tylko bardzo ograniczone zastosowanie, jako ciało słodyczodajne: zamiast miodu w cukiernictwie, piernikarstwie i wogóle tam, gdzie obecność jego można było zamaskować przed oczami odbiorców. Przyrządzają także z niego farbę cukrową, która służy do zabarwienia likierów, octu, rumu, koniaku, piwa, wina itd.

Postęp techniki i tej gałęzi przemysłu nie ominął. Starania specyalistów zwróciły się przedewszystkiem ku ulepszeniu otrzymywanego produktu pod względem wyglądu, a następnie i mniej jaskrawe wady jego zaczęły stopniowo ulegać reformatorskim usiłowaniom techników.

W roku 1883 inżenier Tadeusz Korwin-Sakowicz wspólnie z D. Rozenblumem uzyskał przywilej na sposób wyrobu białego cukru skrobiowego; używa on zamiast kwasu siarczanego jego bezwodnik; aby otrzymać zupełnie biały produkt służy nadmanganian potasu. Substancya ta utlenia barwniki, a więc odbarwia sok. Następnie miano wydostawać cukier skrobiowy z tego soku w podobny sposób, jakim obecnie wydobywają trzcinowy z oczyszczonych soków buracznych. Lecz ostateczne oddzielenie kryształów od cieczy i tu nie szło zupełnie gładko.

Przed paru laty zyskał wiele rozgłosu sposób otrzymywania cukru ze skrobi Trompedacha i Seyberlicha. Środkiem scukrzającym jest tu kwas azotny. Dawniej oddzielano kryształy cukru wprost z kwaśnego roztworu, T. i S. zobojętniają natomiast poprzednio nadmiar kwasu w soku sodą. Ma to znacznie ułatwiać krystalizacyę. Według zapewnienia wynalazców otrzymywane kryształy są o wiele większe i przy odrzucaniu w odśrodkowcach ciecz o wiele łatwiej daje się usunąć, a z nią i zawarte w niej przymieszki.

Gdyby nawet przyrzeczenia te nie zupełnie odpowiadały rzeczywistemu stanowi rzeczy, posiadamy inny dowód, że kwestya otrzymania czystego i ładnego cukru ze skrobi może być dodatnio rozstrzygniętą. Dowodem tym jest produkt, dostarczany przez fabrykę A. Markla. Profesorowi Antonowi w Pradze udało się oddawna ominąć szkopuły, przeszkadzające wyrobowi dobrego cukru ze skrobi. Bliższe szczegóły jego sposobu trzymane są dotychczas w tajemnicy. Wiadomo jednak, że w pomienio-

---

w wojennym czasie za takie żarty można trafić pod sąd. Potem zwracając się do dziewczyny, rzekłem, że nie ma czego lękać się i może spokojnie iść w swoją drogę. Nie mogła opamiętać się; w jednej ręce ściskała kamień, w drugiej mój rękaw.

— Gdzie mieszkasz? — zapytałem.

W milczeniu skinęła głową ku wiosce.

Wyjąłem kamień z jej ręki i rzuciłem go.

— No, to cię odprowadzę — rzekłem — pójdźmy.

Milczała całą drogę jak zaklęta; ja także, bo o czem miałem mówić z nieznajomą? Dopiero gdyśmy byli blizko wioski, powiedziałem:

— Teraz możesz sama odejść.

— Proszę do nas — rzekła, zwracając się ku mnie — *majka* będzie bardzo rada.

I nie czekając odpowiedzi, wskazała ręką na swój domek i pobiegła naprzód.

Szedłem zwolna i myślałem: zajść, czy nie? — po co? Jeszcze zechcą dziękować — a za co?

Zbliżywszy się do chatki, miałem ominąć. W tej chwili drzwi otwarły się, z nich wychyliła się dziewczyna i wabiąc ręką, jak gdyby chciała wgarnąć mnie do wnętrza domku, zawołała:

— Tuka, tuka!

Wszedłem. Na podniesieniu z desek, które zajmowało większą część izby, siedział stary bułgar, a przy kominie, na słomianej macie, staruszka. Ukłoniłem się. Uśmiechnęli się przyjaźnie i prosili, abym usiadł. Dziewczyna przyniosła konewkę z winem. Popijając, ze starym rozmawialiśmy o wojnie, o turkach, o naszych pochodach, o bułgarskim bycie. Kobiety słuchały zdala; a gdym opowiadał o swojej matce i siostrze, o naszej wiosce, stara, kiwając siwą głową, słuchała pilnie, jak rodzonego syna, a Marika — tak się nazywała dziewczeka — oparta o ścianę, zapatrzyła się dużemi oczami. Piękną była wtedy: wysoka, kształtna, nieruchoma, bezwładnie opuściła rączki i zesztywniała; tylko oczki jej to świeciły jaskrawie, to się ćmiły. Odgadłem, dlaczego bułgarskie niebo tak podobne do niej: bo jej oczy iskrzyły się jak gwiazdy i jak one mroczyły się pod cieniem chmurek...

Od tej pory wszystkie chwile wolne od służby spędzałem u Mariki. Z każdym dniem przyjmowano mnie serdeczniej, a po tygodniu zdawało się, żeśmy znajomi od wieków.

— Bądź moją siostrą — rzekłem raz, siedząc z nią wieczorem na przyzbie.

— Tyś mój brat — odpowiedziała poważnie.

— Wojna skończy się, wrócę... będziesz mię oczekiwała.

Nic nie odrzekła, uścisnęła mi rękę i podnosząc długie rzęsy, spojrzała w oczy — Boże mój, jak spojrzała!

Chwil kilka siedzieliśmy, jakby nas kto zaczarował — bez ruchu, bez głosu; chciałem jeszcze o jedną rzecz zapytać, lecz lękałem się, żeby nie pomyślała źle o mnie, a jednak nie śmiałem zwlekać... Dziś, jutro wyruszymy, a gdy powrócę, mogę jej nie znaleźć... nic... mogę ją znaleźć czyjąś... serce zakołatało, odmówiłem w duchu „pod Twoją obronę“ i jak mogłem najciszej szeptałem:

— Będziesz moją żoną?

Zbladła, zarumieniła się i przytuliła główkę do mej twarzy; zrozumiałem, co to znaczy, lecz chciało się słyszeć jej głos, widzieć, jak jej usta poruszać się będą.

— Będziesz moją? — powtórzyłem.

— Jak chcesz — szepnęła tak cicho, że nikt oprócz mnie nie dosłyszałby tego.

I znowu siedzieliśmy niemi... nareszcie podniosła główkę, twarz miała zarumienioną, podobną do zorzy porannej; patrząc gdzieś w dal, wyszeptała:

— Nic nie mów rodzicom, bo mnie będzie wstyd.

Uścisnąłem jej ręce, a tak mi było na duszy radośnie, że chyba w niebie tak być musi.

Gdy przyszedłem nazajutrz, stary bułgar uścisnął mnie jak syna, a staruszka rozpłakała się czegoś. Okazało się potem, że Marika, tuląc się wieczorem do matki, zapo-

nej fabryce scukrzanie odbywa się przy współudziale tak diastazy, jak i kwasu siarczanego; otrzymują więc cukier mieszany słodowo-skrobiowy. Po scukrzeniu i zgęszczeniu soku kryształy odprasowują od cieczy, a następnie topią je. Otrzymany po zastygnięciu stopionej masy produkt odznacza się szczególną białością, twardością, zawiera bardzo mało wody i obcych przymieszek, słowem, odpowiada wszelkim wymaganiom, jakie względem cukru ze skrobi postawić można; brak mu tylko tej słodyczy, która cukier trzcinowy tak cennym czyni.

Zdawałoby się, że tu już sama przyroda kres dalszym ulepszeniom położyła. Lecz jeżeli brak zębów naturalnych można wynagrodzić sztucznymi, brak włosów — peruką, a brak wiedzy — fantazyą, dlaczego by cukier skrobiowy nie mógł uzyskać sztucznej słodyczy? Twierdzą wprawdzie sceptycy, że sztuka nigdy naturze nie dorówna, lecz cóż to może obchodzić fabrykantów? Niech tylko wszystkie pozory za ich produktem przemawiają, taniość zyska mu zwolenników, a reszta nie ich jest rzeczą. Aby handel szedł!

Dwaj chemicy Fahlberg i Remsen studyowali własności niektórych pochodnych toluolu, substancyi tworzącej się przy suchej dystylacyi drzewa, węgli itp., a którą w większych ilościach można otrzymać z odpadków przy fabrykacyi gazu świetlnego pozostających. Jedno z otrzymanych ciał odznaczało się nadzwyczajną słodyczą; zastanowiło to pomienionych badaczy i zajęli się oni zbadaniem innych jego własności. Był to biały krystaliczny proszek, łatwo rozpuszczalny w wyskoku, nieco trudniej w wodzie. Stosownie do pochodzenia należałoby go nazwać kwasem anhydroortosulfamidobenzoesowym, nieco uproszczona nazwa brzmi sulfinid kwasu benzoesowego; lecz ani pierwsza, ani druga nie są dla ciała, które ma stać się przedmiotem codziennego użytku. Gdy poznano bliżej jego własności, przezwano go więc sacharyną. Jest on 280 razy słodszy od cukru trzcinowego; charakterystyczną słodycz tę można jeszcze poznać w zobojętnionym roztworze, zawierającym 1 gramm sacharyny w 70.000 gr. wody dystylowanej. Korzystając z tych własności, probował Fahlberg zastosować sacharynę do osładzania różnych wyrobów cukierniczych, likierów, syropów, wody musującej, wina szampańskiego, proszków, pastylek i t. p.. Szczególnie przez osładzanie lekarstw, przeznaczonych dla cierpiących na chorobę cukrową (diabetyków), okazał by on ogromną usługę medycynie. Preparaty Fahlberga zwróciły powszechną uwagę na wystawie w Antwerpii. Od tego czasu datują się badania rożnych uczonych nad fizyologicznymi skutkami tych preparatów. Przyznać należy, że wypadły one bardzo pomyślnie dla nowego wynalazku. Mosso i Aducco w Turynie zażywali dziennie po 5 gr. sacharyny przez 4 dni i żadnej zmiany w usposobieniu i apetycie na sobie dostrzedz nie byli w stanie. Oprócz tego posiada sacharyna własności i antyseptyczne, wstrzymuje fermentacyę i gnicie, co ją szczególnie cenną czyni przy wyrobie konfitur i konserw. Dotychczas należała ona do ciał dosyć kosztownych (funt 6 rs. 50 k.), lecz zachęcony powodzeniem założył obecnie Fahlberg, wspólnie z Listem i innymi, fabrykę sacharyny na wielką skalę w okolicach Lipska, prawdopodobnie więc cena jej znacznie spadnie. Posiada substancya ta tylko jedną stronę ujemną — nie jest pożywną. Mamy więc jedno ciało — cukier skrobiowy, któremu brak tylko słodyczy, drugie zaś — sacharynę, zawierającą słodycz w wysokim stopniu, lecz niepożywną. Nic prostszego jak skombinować te dwa ciała w ten sposób, aby kombinacya posiadała wszystkie własności cukru trzcinowego.

Mieszanina 1—2 sacharyny i 2,000 części cukru skrobiowego jest właśnie owym konkurentem, przed którym drżeć mają cukrownicy. Ponieważ zawiera ona tylko niewielkie ilości drogiej sacharyny, resztę zaś stanowi tani cukier skrobiowy, także kartoflanym zwany, nie powinna być drogą. To też znany ze swych badań w tej gałęzi przemysłu prof. L. Wagner w Peszcie uważa wynalezienie sacharyny za punkt zwrotny w dziejach rozwoju fabryk cukru skrobiowego. Przypuszcza on, że już obecnie należałoby zwinąć niektóre cukrownie buraczne i zastąpić je skrobiowemi, t. j., kartoflanemi, zbożowemi, kukurydzianemi itp. Przyszłość pouczy nas, o ile mniemanie to jest słusznem.

(D. n.).

CŁA NIEMIECKIE.

I.

Jacta est alea!—woła jedno z pism w chwili, gdy telegraf doniósł o przedstawieniu parlamentowi niemieckiemu przez rząd projektu podwyżki ceł zbożowych; „cios to, którego żadne gospodarstwo nie przetrzyma“ — rozpaczliwie głosi drugie; a jeśli dodamy do tego cały szereg grobowych przepowiedni dla naszego rolnictwa ze strony „powag“ ekonomicznych, jeśli weźmiemy pod uwagę, że hałatowi finansiści małych miasteczek przelicytowują się *in minus* w ofertach za zboże tegorocznej produkcyi—gotowiśmy uwierzyć w nieuchronną ruinę przedsiębiorstwa, obalonego polityką ekonomiczną naszego przyjaciela z Berlina...

Ponieważ jednak niepodobna, żeby jeden ukaz kanclerski druzgotał pracę wielu pokoleń, ponieważ produkcya rolnicza zbyt jest skomplikowaną, żeby cios z zewnątrz pochodzący miał ją ostatecznie pognębić — nie przez różowe szkiełka, lecz z cyframi i trzeźwą kombinacyą przyjrzyjmy się, czem są i jakim być może wpływ niemieckich „ceł odwetowych.“

Przeszkody jakiejkolwiek natury, jeśli tamują swobodną wymianę produktów, jeśli krępują obieg bogactw, z zasady uważane być muszą za ujemny czynnik ekonomiczny. W rzędzie tych przeszkód cła wwozowe stanowią niepomierną zaporę prawidłowej produkcyi, zwłaszcza że wytwórca nigdy nie może być pewien, czy norma cła dzisiaj obowiązująca nie zmieni się jutro? Jest to największa wada systemów ochronnych: nie pozwala bowiem przy układaniu kosztów przedsiębiorstwa w rachunku „cło“ postawić cyfry stałej i na jej podstawie obliczyć: czy zamierzona produkcya opłaci się, czy też na straty narazi? Doszliśmy dziś przy panującej walce ekonomicznej do tego, że cła stanowią pewien rodzaj „skali ruchomej,“ zależnej nie od podaży i popytu, lecz od prądów polityki międzynarodowej.

Wolny handel, do którego i dziś jeszcze wzdychają umysły liberalne i który z czasem musi stać się normą stosunków międzynarodowych, na razie jest niemożliwy, bo tylko przy równomiernych warunkach bogactwa, pracy, inteligencyi i energii narodów produkujących zdolen utrzymać rów-

---

mniała, jaki ją wstyd czeka i pod sekretem szepnęła staruszce o wszystkiem; kobieta zaś pod sekretem mężowi... wszyscy więc byliśmy związani tajemnicą i cały dzień było w domku jak w raju. Pod wieczór stary nie wytrzymał— siedzieliśmy z Mariką jak zwykle na przyzbie — wyszedł, rzucił czapkę o ziemię i zawołał:

— No, dzieci, co tu za sekrety! Będzie jak Bóg da, a tymczasem błogosławię was.

Zląkłem się, bo skądże mógł wiedzieć? Marika pokraśniała, jakby ją pożar ogarnął, lecz staruszkowie już nas całowali, błogosławili... Odtąd czułem, że Marika jest moją i tylko moją; byłem dumny, szczęśliwy.

— No, chwała Bogu — rzekł stary wesoło — nie wiedzieliśmy, co począć z dziewczyną: i ten nie podoba się, i ten nie wart.

— Takie przeznaczenie — szeptała stara, wycierając łzy i patrząc na nas z uśmiechem.

Wieczorem Marika zaprosiła kilka przyjaciółek, ja zaś dwóch serdeczniejszych towarzyszów, bo to i we wsi i w naszej kompanii szeptano już potrosze, że kapral za często coś biega do Mariki i za wiele z sobą gwarzą. A wiadomo, że choć złych ludzi mniej, niż dobrych, lecz dosyć ich, ażeby podejrzenie, a nawet niesławę wytworzyć; więc niechże wszyscy wiedzą, że to nie żadne banialuki, lecz podług bożej i rodziców woli.

Gwarzyliśmy tedy wesoło, jak przy takiej okoliczności przystało; ani obejrzeliśmy się, jak noc przemknęła i zaczęło świtać. Marika, siedząc ze mną na uboczu, szeptała, że dzień i noc oczekiwać mnie będzie, tęsknić, że gdybym został inwalidem, będzie mnie jeszcze więcej kochała, jeżeli tylko można więcej. Tysiąc razy mówiliśmy jedno i toż samo i byliśmy szczęśliwi.

Wtem rozległ się wystrzał, za nim dźwięk trąbki, w całej wsi i po za wsią bębny zagrzmiały pobudkę — zerwałem się.

Marika zbladła, wyciągnęła ku mnie ręce i nim zmiarkowałem, co się dzieje, padła u moich nóg bezwładna.

Osłupiałem i nie wiedząc, co począć, porwałem ją, trząsłem, błagałem — martwa...

— Wody! — krzyknąłem. Towarzysze podali konewkę. Położyłem Marikę na macie, obryzgałem wodą i rozdarłem na piersiach narzutkę i koszulę... głupi byłem, czy to ja jaki felczer! Gdym ujrzał białą, jakby toczoną szyję, piersi... odwróciłem się przelękniony. Wiarusy wytrzeszczyli oczy i zdziwieni patrzyli na dziewczynę; wściekłość mię ogarnęła. Ach wy tacy synowie!— krzyknąłem i nie patrząc, starałem się otulić Marikę narzutką. Ręka mi drżała i dotykając piersi, odskakiwała od niej zupełnie z takiem uczuciem, jak bywało w szkole, gdy oficer żartując, da w ręce druty od bateryi elektrycznej. Nareszcie matka oprzytomniała i pomogła mi. Spojrzałem: dziewczka była blada, ociężałe powieki chciały się podnieść, lecz tylko mrugały, usta chciały uśmiechnąć się, lecz krzywiły się boleśnie. Tymczasem pobudka grzmiała, słychać było chrzęst broni i wrzawę głosów, każde uderzenie bębna odbijało się w mem sercu. Towarzysze moi wybiegli już z chaty.

— Matko, ochraniaj Marikę — rzekłem i porwałem czapkę.

Dziewczyna jednym sprężystym ruchem podniosła się i zawisła na mej szyi — pocałowałem ją. Zesztywniała na moich ustach i drżącym głosem szeptała:

— Powracaj... nie idź.. ja umrę... ja nie doczekam...

Serce mi pękało, jakby tępy bagnet do niego tłoczono.

— Powrócę Mariko! — wołałem — powrócę, bądź zdrowa, puść mię!

Oderwano ją ode mnie — wybiegłem.

Spotkałem towarzyszów już uzbrojonych, spieszących ku mnie z tornistrem i strzelbą. W jednej chwili byliśmy w szeregu. Mój pluton stał w zupełnym porządku; gefrejter tak zręcznie umiał znaleźć się, że kapitan nie dostrzegł mojej nieobecności.

Wkrótce byliśmy za mostem.

(D. n.)

Brolis.

nowagę ekonomiczną społeczeństw. To też szkoła manchesterska istnieje i istnieć będzie w Anglii, zbyt silnej materyalnie, by jakiekolwiek współzawodnictwo zagrozić jej mogło, ale zasady jej stanowić będą czasowo tylko ideał ekonomiczny, do którego dojdą kiedyś narody. Ląd stały Europy zaś musi być świadkiem i uczestnikiem walk, wywołanych już to słabym rozwojem pewnych gałęzi przemysłu, już też— w wypadku, który nas interesuje — potężnym wpływem jednostek, dla osobistej korzyści pragnących zapewnić sobie monopol w ich ręku znajdującego się przedsiębiorstwa.

Najfałszywiej bowiem pojmujemy pobudki, skłaniające ks. Bismarka do wprowadzenia w życie prawa, które niepraktykowane cła nakłada na dowóz artykułów pierwszych potrzeb. Zdaje nam się, że kanclerz w widokach wyższej polityki zadaje cios Rosyi, którą chce osłabić materyalnie, zanim całą siłą bagnetów uderzy na jej stanowiska *). Bismark zanadto jest przewidujący by nie rozumiał, że tak zwane cła odwetowe Rosyi nie zrujnują, że jedynie wprowadzą chwilowe zamieszanie w jej stosunkach handlowych, których naruszenie, jak to wyżej powiedziano, nigdy pożądanem być nie może; ale po pewnym czasie, rzeczy wrócą do dawnego porządku i Niemcy, jak posiłkowały się naszą produkcyą, tak i nadal posiłkować się będą.

Postawiwszy w ten sposób kwestyę, należy nam dowieść: dla kogo, tj. na czyją korzyść cła niemieckie zostały uchwalone, jaki rezultat przyniosą Niemcom i jaki wpływ wywrą natychmiastowy i w następstwie na naszą produkcyę?

Ostatnia nowela cłowa w Niemczech — jak i poprzednie—postanowiona została nie w celu sparaliżowania ekonomicznego Rosyi, lecz przedewszystkiem w interesie partyi rolnej, o ile idzie o politykę ekonomiczną najsilniejszej; następnie w interesie skarbu, któremu opłaty celne przyniosą poważny zasiłek dla przeróbki karabinów wielkiego kalibru na mały, na zaopatrzenie nowych korpusów, słowem, na wzmocnienie siły odpornej, a raczej zaczepnej, państwa.

Stronnictwo rolne, którego Bismark gorliwym jest obrońcą, choćby dlatego, że podstawą jego mienia jest ziemia — widzi, że wobec współzawodnictwa innych krajów, wobec zwiększających się ciężarów państwowych i kosztów produkcyi, renta gruntowa staje się czemś niepochwytnem... A tymczasem przy coraz większej łatwości zwiększania latifundiów, skutkiem ogromnego obdłużenia małej własności, ziemia byłaby dobrym bardzo interesem, gdyby tylko jej płody po wyższych cenach można sprzedawać. Cóż w tem położeniu robić? Nic łatwiejszego, jak korzystając z wpływu na sfery rządzące i z ich zainteresowania osobistego w sprawie, obmyślić taki środek, któryby sztucznie podniósł cenę płodów rolnych, a tem samem—rentę gruntową. O uczuciach altruistycznych, patryotycznych, obywatelskich tych panów, mowy nie ma. Oni wiedzą dobrze, że cło zbożowe, jeszcze takiej wysokości, niezmiernem brzemieniem zaciąży na ludzie, że kosztów jego nikt inny nie poniesie, tylko konsumenci niemieccy i nie zważając na straszną krzywdę, jaką narodowi wyrządzają, agitują za projektem, który ich sprzymierzeniec i opiekun ubiera w szczytne godła wyższej polityki... Bismark do tego stopnia otumanił niemców, że z czelnością jemu tylko właściwą utrzymuje dziś za pośrednictwem prasy gadzinowej, iż cła zbożowe są odwetem za silnie protekcyjną politykę Rosyi, okrywa projekt płaszczem patryotycznym i rzuciwszy ten zdawkowy frazes narodowi, sfery decydujące okłamuje perspektywą zwiększonych dochodów skarbu. Smutna to perspektywa, za którą Niemcy płacić będą całemi latami upadku ekonomicznego!..

Te *ad usum delphini* obmyślone prawa jaki przyniosą rezultat narodowi? Bezwarunkowo ujemny. Zadaniem protekcyi państwowej jest spotęgowanie wytwórczości pewnego przemysłu, który, zbyt słabo jeszcze rozwinięty, potrzebuje ochrony przed konkurencyą tych samych przemysłów, gdzieindziej już udoskonalonych lub produkowanych taniej. Czy w tem położeniu są Niemcy? Czy przemysł ich rolny nie jest jeszcze dostatecznie rozwinięty? Nad temi pytaniami nie potrzebujemy się zatrzymywać; każdemu bowiem wiadomo, że naród ten rolnictwo krajowe doprowadził do wysokiego udoskonalenia i cokolwiek nauka i technika po dziś dzień wynalazły, w zupełności zostało tam zastosowane i wyzyskane. Cła zbożowe nie powiększą wytwórczości Niemiec, bo granice jej ściśle określone są warunkami przyrodzonymi, których najgenialniejszy umysł przekroczyć nie zdoła. Tu i owdzie jakieś gospodarstwo podniesie swą wydajność o pewien procent, ale będzie to kroplą w morzu, która zginie wobec zwiększającej się ludności i jej potrzeb konsumcyjnych, a naród jak dawniej, tak i nadal musi uzupełniać swe środki pokarmowe dowozami nadprodukcyi państw innych.

Sądzić by można, że po wprowadzeniu ceł, ceny zboża podniosą się znacznie? Teorya tak uczy, ale praktyka do wprost innych dochodzi rezultatów. Oto, co mówił minister rolnictwa Lucius na posiedzeniu parlamentu berlińskiego w roku bieżącym: „Po uchwaleniu poprzednich ceł, ceny nie poszły w górę, lecz spadły nawet. Gdy w r. 1861 płacono za pszenicę 221 m., w 1867 258 m., a w 1872 aż 264 marek za tonnę, to po zaprowadzeniu ceł ceny za pszenicę były następujące: 196, 219, 220, 208, 185 i 173 marek. Żyto nie podlegało tak znacznej różnicy w cenie, ale i tu dodatni wpływ ceł w niczem się nie okazał. W r. 1878, więc przed zaprowadzeniem ceł, płacono 143 m. za tonnę; po drugiem podwyższeniu cła w 1885 r., cena w roku zeszłym wynosiła 134 m., a w marcu 1887 w Berlinie 124 marek."

Gdybyśmy potwierdzenia cyfr powyższych chcieli szukać gdzieindziej, przykładu dostarczy nam Francya.

Pierwsza taryfa celna w 1879 r. nie była zbyt wysoką i wpłynęła dodatnio na wzrost produkcyi miejscowej. Z 29 mil. hektolitrów pszenicy importowanej do Francyi w 1879 r., przywóz zmniejszył się w 1884 do 15 mil. hektolitrów. Co do cen zbożowych jednak, te wbrew oczekiwaniu zaczęły spadać. Gdy w 1879 r. hektolitr pszenicy płacono 22 fr. 12 cen., w 1883 — już tylko 19 fr. To było powodem nowej zwyżki i w 1885 r. podniesiono cło do 3 fr. od centnara metrycznego. Następstwem było ogromne zdrożenie chleba, za którego 100 kilo trzeba było płacić w 1886 r., 22 fr. 73 cen. Jak ludność odczuła tę cenę, domyśleć się łatwo.

(D. n.).

Gozdawa.

*) Że Bismark ten cel ma i z rachubą wskazaną przez autora go łączy, to nie ulega żadnej wątpliwości. *Red.*

Z ZAUŁKA.

(Art. nad.)

„Kto nie czuje ciemności, nie będzie się oglądał za światłem."
Buckle.

Faktów, przytoczonych przez p. Gozdawę w artykule „Nasi agronomowie," znalazłoby się więcej w kraju, niż autor sądzi; fachowi rolnicy, którym dotychczasowe przesilenia nie zrobiły wyłomu, siedzieli cicho. Spytacie dlaczego? Bo wszelkie rady i projekty odbijają się o głowy naszych pseudo-gospodarzów, jak groch o ścianę; dopiero napad wilka, w postaci Bismarka, spędzi stado do kupy. Parlament Rzeszy uchwali podwyższenie cła od pszenicy i żyta do 6 marek od centnara metrzycznego, pominąwszy inne produkty; teraz dopiero, przyparci do muru, spędzeni w kupę, zaczniemy radzić, wiedząc, że głosu poważnego strwożona kupa... usłucha.

Nie roszczę sobie pretensyi do stawiania wniosków i dawania rady innym; dotychczasowemu przesileniu ekonomicznemu nie złorzeczyłem, na wiadomość jednak o zamknięciu granicy Niemiec dla naszego zboża, twierdzę, wbrew p. Gozdawie, że położenie naszych rolników będzie bardzo krytyczne.

Zamknięci granicą Niemiec od zachodu, oddaleni od portów i dróg wodnych, przy kosztownych transportach kolejowych, będziemy odcięci od wszelkich dróg zbytu żelazną obręczą pruską.

Wysoka produkcya z morga, przytaczana przez p. Gozdawę (choć ja nie byłbym tak łatwowiernym), nie podtrzyma w tem położeniu rolników; musimy się najprzód stowarzyszać. Donkichoterya minąć powinna bezpowrotnie; dosyć pojedynczo biliśmy głową o ścianę—świat cały zabija nas wyższą inteligencyą i stowarzyszeniami; nawet Australia wyżej od nas stoi ekonomicznie, przez asocyacye; pośrednictwo powinno być wykluczone, to nasz czysty zysk.

Dalej, jak przez tyle wieków, wrócić musimy do naszej jedynej komunikacyi wodnej, naszej Wisły. Fracht wodny, dziesięćkroć tańszy od kolejowego, zbliży nas przez Gdańsk z zachodem; projektowałbym przeto stowarzyszonym kółkom rolniczym z 50 lub więcej członków, wystarawszy się o pozwolenie u władzy, nabyć płytki statek parowy i w porze właściwej spławiać zboże do Gdańska, ciągnąc w górę rzeki tratwy od zboża, naładowane potrzebnymi artykułami z zagranicy, niezbędnymi w rolnictwie i przemyśle, jak: nasiona traw, lucerny, końskiego zębu, lub też narzędzia rolnicze i fabryczne.

Nadto, ponieważ Niemcy przez tak wysokie cła uniemożebniają zupełnie wywóz naszego zboża do siebie, wydając naszemu rolnictwu wojnę na śmierć, wszelkie przeto środki obrony, godziwymi być muszą: za taki środek uważałbym premie od przenicy i żyta wywożonego do Niemiec. Przez granicę zachodnią wychodzi około 6,0000,000 korcy przenicy i żyta; premie po rublu od korca mógłby sobie rząd wynagrodzić podwyższeniem taryfy celnej od tego państwa o 25% a nie poniósłby straty, podnosząc zarazem u nas przemysł fabryczny.

Jakkolwiek nie wielbiciel systemu protekcyjnego, uważałbym odwet za naturalny, gdyż zanadto jesteśmy słabi, aby w tej walce nie uledz.

Myśl rzucona może znajdzie oddźwięk w umysłach rozumnych i praktycznych rolników; wiązanka takowych stworzyć może stalowy puklerz przeciw taranom Bismarka.

Nie chciałbym być fałszywym prorokiem, ale bez użycia środków zaradczych, nawet ci „agronomowie" p. Gozdawy, nie dadzą synom wykształcenia a córkom posagu.

K. St.

BADANIA NAUKOWE.

LUDOŻERSTWO
I SZAŁ KRWIOŻERCZO-EROTYCZNY.

I.

Zboczenia popędów i uczuć, zauważone przez psychiatrów, dają klucz do zrozumienia natury ludzkiej i w stanie normalnym, a postępy ostatnie psychologii opierają się w wielkiej mierze, jeżeli nie przeważnie, na faktach, zaczerpniętych z tej dziedziny. Dzieje ludzkości, oświetlone z tej strony, zyskują również na szerokości widnokrę-

gów. Postacie w rodzaju proroków, wilkołaków, czarownic, otrzymują zupełne wyjaśnienie tylko przy pomocy rezultatów, zdobytych przez badania psychiatryczne. Istnieje nawet teorya, z którą poznajomiliśmy czytelników *Prawdy* przed rokiem, uważająca poniekąd wszystkich pierwszych reformatorów i nowatorów politycznych, społecznych i religijnych za jednostki, nienormalnie ukształtowane pod względem psychicznym. Obecnie chcielibyśmy pomówić o szale krwiożerczo-erotycznym — zjawisku, rzucającem pomost pomiędzy najrozmaitsze typy społeczne i posiadającem oprócz tego znaczenie w naukach etnograficznych.

Jednym z powszechnym objawów w świecie zwierzęcym jest połączenie wybuchów szału erotycznego z żądzą krwi i pastwienia się nad istotami żyjącemi. Przynajmniej wśród wyższych ssaków możemy spotkać się z tym faktem na każdym kroku. I tak— że ograniczymy się kilku przykładami — samiec kanarek, w napadzie uniesienia płciowego, zabija samiczkę i dla zaspokojenia trzeba mu dostarczać dwie inne; kangur, chowany w ogrodzie zoologicznym hamburskim, w podobnej chwili zamordował swą towarzyszkę i dziecko. Wybuchem tego samego nastroju, który doprowadza niekiedy do powyższych czynów, są zdarzające się stale, podczas rozbudzenia popędów erotycznych, pojedynki niektórych rogaczów i ptaków, gdy współzawodniczą o samicę. U innych gatunków ptaków walki zamieniają się w zaloty z odcieniem wojowniczości. „Struś samiec przysiada przed samicą, potem buja miarowo przez 8 lub 10 minut głową i szyją, bije siebie tyłem głowy po bokach, skrzydła poruszają się febrycznem drżeniem, całe ciało trzęsie się, z piersi wychodzi rodzaj gruchania głuchego i urywanego, cała jego istota zdaje się być w histerycznym szale.“ U strusia ruchy poczynają przybierać rytmiczność peryodyczną, u innych — wyradzają się w tany. Śpiew, będący miarowem wydawaniem dźwięków, wytwarza się na podścielisku miarowych poruszeń i można go uważać za uwieńczenie rozwoju ruchów erotyczno-wojowniczych, z zatraceniem ogniw pośrednich. Wogóle punktem wyjścia jest podbudzanie płciowe, chociażby dlatego, iż funkcye z niem związane są najważniejsze dla gatunków. Pod jego wpływem powstaje szereg różnych ruchów, w tej liczbie—walczenia. Lecz idea i uczucie są nieodłączne od ruchu, zwłaszcza poniżej człowieka w świecie zoologicznym; pod działaniem wykonywanych poruszeń zjawia się popęd wojowniczy i w ciągu dalszym szał krwiożerczy, gdy rozjątrzenie erotyczne przekroczy pewne granice. Ogniwa pośrednie tu i owdzie przepadają i otrzymujemy na pewnych szczeblach organicznych połączenie erotyzmu z krwiożerczością, mniej lub więcej potężne i namiętne, stosownie do mocy podniety pierwotnej, rozpłodczej.

Człowiek, o którym możemy powiedzieć, iż jest kością z kości zwierzęcych, krwią z krwi zwierzęcej, nosi w sobie odziedziczone po dalekich przodkach to sprzężenie popędów. Oto niejaki Grassi, pijany szałem miłosnym, rzuca się w nocy na krewniaczkę; odepchnięty, porywa nóż, rani ją kilkakrotnie w dolną część brzucha, jako też ojca i wuja, powstrzymujących jego rozjątrzenie, wybiega do domu nierządu, lecz powraca w dawnym stanie podniecenia, zabija ojca i kilku byków w stajni. Kryminalistyka algierska notuje szczegół, iż kabyle, obwinieni o uduszenie kobiety, zawsze, jak się okazuje, czynią to podczas scen miłosnych. Podobnego rodzaju uniesienia są częste u epileptyków i doprowadzają do takich samych katastrof. Lecz są typy, u których szał erotyczno-krwiożerczy przybiera postać wyrafinowanego spokoju, jak u sławnego w kronikach XV w. marszałka Gilles de Rays, uprowadzającego drobne dzieci do zamku, gwałcącego je tutaj wśród wyszukanych tortur i wreszcie mordującego. W tych przykładach podbudzenie erotyczne wywoływało krwiożerczość. Lecz spotykamy i odwrotne sprężenie uczuć, mianowicie powstawanie chuci lubieżnej pod wpływem widoku przelewania krwi. Odpowiada to wywodom psychologii, iż, gdy dwa stany psychiczne w wielu razach sobie towarzyszyły, ukazanie się jednego wznieca i drugi. Przypuszczenie takie znajduje najzupełniejsze poparcie w faktach historycznych, choćby w tym jednym, wystawionym przez Montegazzę, jako w wiekach średnich, gdy brano szturmem nieprzyjacielskie miasto, do wszystkich klęsk rabunku i rzezi ze strony rozjuszonego żołdactwa dołączało się zawsze gwałcenie z jednoczesnem morderstwem kobiet. W dalszym ciągu sam widok krwi może wywołać podrażnienie miłosne. Hoffman opowiada wypadek, gdzie zarzynanie własnoręczne kury lub gołębia zastępowało przyjęcie narkotyków lubieżnych. Lombroso przytacza jednego utalentowanego pisarza, podbudzającego się na widok zabitego cielaka, lub nawet świeżego, surowego mięsa. W tych faktach zawiera się cenna wskazówka dla rodziców i pedagogów. Jeżeli zgodzono się strzedz dziatwę od widoków bezpośrednio lubieżnych, jako wywołujących żądze przedwczesne, wypadałoby z tych samych względów ochraniać ją i od patrzenia na wypadki przelewania krwi i pastwienia. Jakkolwiek bowiem idea krwiożerstwa nie wiąże się w naszej świadomości z pojęciami lubieżnemi, znajduje jednak ku nim pomost w układzie tkanki nerwowej, odziedziczonej po przodkach zwierzęcych; przebiegając po nim, może wywołać zgoła nieprzewidziane skutki. Verzeni, ów młody upiór, a raczej obłąkaniec ze śladami atawistycznego zwyrodnienia czaszki, duszący w polach kobiety i ssący ich krew, wkroczył na tę drogę w dwunastym roku życia pod bezpośrednią pobudką ze strony widoku zarzynanej kury. Uczucie lubieżne, które go wtedy ogarnęło, było tak potężne, iż dla wywoływania go i nadal wziął się do duszenia pokrzyjomu drobiu w kurniku. Od kur przeszedł potem do ludzi. Wprawdzie w obecnym wypadku mamy do czynienia z okazem chorobliwym i takie silne połączenie idej krwiożerczych a erotycznych w młodym wieku da się wytłomaczyć jedynie wyjątkową naturą fizyologiczno-psychiczną. Lecz zboczenie wskazuje w każdym razie na jedną z tajemnic ludzkiej budowy; związek w człowieku „normalnym“ może być słabszy, uwidoczniać się w mniejszym stopniu, ale o istnieniu jego niepodobna wątpić. Wreszcie po poprzednich szczeblach dochodzimy do wypadku, gdy widok krwi i cierpień, zadanych kobiecie, zupełnie zastępuje obcowanie. Moglibyśmy zacząć od tylko co wspomnianego Verzeniego, który, w napadzie szału erotycznego, poprzestawał na duszeniu ofiar, gryzieniu i wysysaniu krwi. Idyotyzm ze starości (*dementia senilis*) i szał epileptyczny znajdują podobnież wyjście w wyjawach albo natury lubieżnej, albo krwiożerczej. Mordowanie kur i grzebanie się w ich ciepłych wnętrznościach zupełnie zaspakaja lubieżnego starca. Krafft-Ebbing opowiada o newropatyku, który znajdował doskonałe zaspokojenie chuci w ranieniu palców kobiety szpilką. Przytoczymy jeszcze jeden przykład, prowadzący nas do dalszych zjawisk psychicznych, związanych z roztrząsanym nastrojem. Pewien handlarz z Augsburga, od czternastego roku życia począł uczuwać dreszcze lubieżne na myśl o ranach, zadanych dziewczętom; we snach majaczyły mu się poranione i pokaleczone kobiety. Od roku dziewiętnastego systematycznie zadaje rany; ofiary wybiera długo, dowiadując się nawet, czy nie są zamężne, lecz stara się nie wywoływać silnych cierpień. Jednakże zauważywszy, że stopień rozkoszy zależy od wielkości wypływu krwi, w 32 przekracza to postanowienie. Gdyśgo ujęto i zrobiono rewizyę w mieszkaniu, znaleziono ogromny wybór sztyletów, nożów rzymskich i tym podobnych narzędzi. Obwiniony przyznał się, iż sam widok zaostrzonej stali podniecał go miłośnie. Ten newropatyk wyjaśnia nam źródło przyjemności, uczuwanej przez mężczyzn przy obcinaniu warkoczy ciężarnej dziewczynie na dowód powszechnej pogardy itd. (Krafft-Ebbing). Udajmy się za prof. Tarnowskim, i on otworzy nowe widnokręgi. Wykazuje, że koniecznem uzupełnieniem charakteru lubieżnego bywa okrutność. Tak, lubieżni nauczyciele odznaczają się tem, iż bez potrzeby ćwiczą malców rózgami: odczuwana przyjemność jest jedynym bodźcem. Najlubieżniejsi z pośród Cezarów Rzymu byli najokrutniejszymi. Jeżeli zważymy jeszcze, iż lubieżność bywa często cechą, nabytą wskutek przesadzonej wstrzemięźliwości płciowej, zrozumiemy źródło krwiożerczości, z jaką asceci średniowieczni Inkwizycyi *) pastwili się nad ofiarami, co padały w ich szpony. Całą nawet Inkwizycyę uważać możemy za instytucyę, w której znalazły wyładowanie krwiożerczo - erotyczne charaktery epoki z odcieniem fanatyczno-ascetycznem. W końcu, ostatecznem, acz już ideologicznem ogniwem szału będzie namiętność, z którą pewni poeci (np. Dostojewskij) lub malarze rozkoszują się w obrazach, pełnych lubieżności, krwi i okrucieństw, pospołu złączonych.

(D. n.)

Lud. Krz.

*) Oto uzasadnienie. Jeden newropatyk od 13 roku począł śnić, iż w izbie znajduje się pełno kobiet, które on poddaje torturom; na myśl samą zadawanych cierpień doznawał uniesień niezwykle lubieżnych.

LITERATURA I SZTUKA.

PO ŚWIECIE.

III.

Restauracya medyolańskiego tumu.—Upadek sceny w Italii. — Komedya XX wieku.

Zapanowała w Italii moda odnawiania facyat. Crispi odświeża facyatę zakopconej polityki trójprzymierza. Stolica Apostolska okurza i czyści facyaty zabrudzonego ziemskim prochem katolicyzmu: posiada ją Matka boska kwiatowa we Florencyi; Medyolan w też pędy ogłasza konkurs na restauracyę tumu. Pierwsze wyniki są świetne: stawiło się na wezwanie 120 artystów z 200 projektami; po kilkakrotnem skrutynium nagrodzono 15: 8 włoskich (z tych 6 medyolańskich), 4 niemieckie, 1 francuski, 1 angielski, 1 ruski; obecnie pracują oni nad ostatecznym projektem, kwintesencyą poprzednich pomysłów. Wynik prawdziwie zaszczytny dla włoskiej spółczesnej sztuki, a zwłaszcza dla Lombardyi, ojczyzny wielkiego Leonarda.

Ktokolwiek był w Medyolanie i z placu teatru „della Scala“ przeszedłszy przez nową galeryę (pasaż) Wikt. Emanuela, stanął na „Piazza del Duomo,“ nie mógł nie spostrzedz odrazu dysharmonii pysznych 122 gotyckich wieżyc nawy kościoła z chłodnym, romańskim, michel-angelowym stylem portyków. Podszedłszy bliżej, musiał zadziwić się grubej, dorywczej robocie rzeźby, nielicującej z delikatną koronką szczytu. Dzieło to Napoleona, który, aby ująć sobie lombardczyków, jak był ujął wenecyan restauracyą placu św. Marka, budowy wlekące się od wieków dokończyć kazał — i stało się, z krzywdą dla sztuki. Historya tumu, to historya medyolańskiej sztuki i społecznych zapasów; trzeba jo mieć przed oczyma, aby pojąć trudne zadanie archite-

kta, który musi wszystkie owe style sprowadzić do jednej zasady, nie zatracając typowego, dziejowego charakteru świątyni. *La Illustratione italiana* wydała we wrześniu r. b. numer dodatkowy, poświęcony owemu międzynarodowemu konkursowi, o którym, jako o ważnem zdarzeniu w postępie rozrastającej się tak gwałtownie Italii, rzec kilka słów wypada.

Naprzód zaznaczyć należy, że owa facyata tumu ma swoją własną historyę niezależnie od dziejów kościelnej nawy. Tum powstał na gruzach kościoła St. Maria Maggiore z końca XIV w.: do w. XVI posiadał, jak to drzeworyt przedstawia, maleńką facyatę z dzwonicą u szczytu; kiedy Viscontowie i Boromeusze zajęli się restauracyą kościoła, trzeba było pomyśleć przedewszystkiem o jego części najokazalszej. Pellegrini w renesansowem zaślepieniu stworzył facyatę romańską o pięciu portykach i dziesięciu olbrzymich kolumnach. Pierwsza monolitowa kolumna pękła zaraz przy zakładaniu; było to w r. 1627; zniechęcono się do potwornego planu, a w r. 1638 Carlo Buzzi zatrzymał na szczęście leniwo wlokące się roboty i ocalił świątynię. Projekty jego, powracające do gotyku, jak kazała tradycya i rozsądek, muszą być odtąd zasadą przyszłych robót, a to w dwojakim kierunku. Pierwszy projekt Buzziego, zachowując z budowy Pellegriniego, co się bez ruiny odmienić nie dało, przedstawia dwie dzwonnice boczne; drugi znosi dzwonnice, a szemat jego wygląda tak: Buzzi umiera w r. 1658, pozostawiając roboty zaledwie poczęte; przez półtora wieku nowi architekci, nie niszcząc już tego szematu, wynagradzają sobie przykrawaniem go do osobistych pomysłów, dorzucaniem ciągle nowych architektonicznych ozdób. Powiada kronikarz: „Generacya zepsuta, nieszczęsna, bezsilna rozsiadła się gnuśnie na podejrzanym kolosie.“ Napoleon przeznaczył na dokończenie facyaty 1½ miliona lirów; stawiała się lat 6 (1807—1813) i taką pozostała ostatecznie.

Architektom stającym dziś do konkursu rzucały się na uwagę przedewszystkiem te pytania: czy facyata ma posiadać dzwonnice boczne, jak pierwszy projekt Buzziego, czyli nie, jak każe tradycya najstarszego owego drzeworytu? W pierwszym zaś razie: czy mają być wyższe, niższe, czy też równe wysokością owemu cudownemu obeliskowi del Croce, widnemu pośród lasów szczytowych wieżyc, ze swą złoconą figurą, aż z pierwszych alpejskich pagórków? Czy może jedną wieżę centralną lub jedną izolowaną z boku, jak wieża pizańska lub florencka? Artyści odpowiedzieli projektami, że wszystkie te wypadki są możebne. Facyatę prostą przyjęli: Beltrami, Locati, Azzolini, Nordio, Weber, Becker; facyatę z wieżami: Ciaghin *) (architekt petersburski, właśnie zmarły), Deperthes, Dick, Hartel, Neckelman. Anglik Brade przyjął razem wieże i dzwonice; cztery odmiany na temat dzwonic dali Ferrario, Moretti, Brentano, Bianchi. Opisywać ich niepodobna, a zauważyć tylko, że nużą oczy nieprzyjemnem bogactwem architektury i sprawiają pewien zawrót głowy, niemający nic wspólnego z religijnem uniesieniem, jakie ma wywoływać widok starych gotyków. Już tu sztuka nie pracowała dla religii, ale dla siebie samej; projekty owe wydają się fantazyami na dany temat, w których artyści, zda się, usiłowali jeden przed drugim wymarzyć coś najwspanialszego i najkosztowniejszego i czemu skarby żadnego państwa nie wystarczą. Drugi konkurs okaże, czy sprowadzone do skromniejszych kształtów fantazye owe urzeczywistnić się dadzą.

Nie mieliśmy dotąd okazyi zaznaczyć najświeższych zjawisk literatury włoskiej; niech nam jednak wolno będzie w oderwaniu od całości podnieść naprzód kwestyę stojącą w Italii na porządku dziennym — kwestyę teatru. Niema wątpliwości — scena włoska upadła, dramat narodowy, to jest taki, który by się typowo wyróżniał od zagranicznych — nie istnieje. W teatrze imienia Manzoniego w Rzymie dawano przez jakiś czas co wieczora nowość; żadna bez wyjątku z tych sztuk nie utrzymała się, a jeżeli w tak łatwych warunkach dostępu i przy takiem poparciu produkcyi nie pojawił się utwór trwalszej wartości, dowód to, że istotnie zabrakło Italii dramatycznych pisarzów. Tłomaczą niefortunne to zjawisko w różny sposób: już tem, że w młodej Italii nie osiadło życie społeczne do tyła, aby w niem skrystalizowały się typy; już tem, że niedość jeszcze dla komedyi wyrobiony język, już to, że wielość dyalektów przeszkadza płynąć literaturze szeroką falą. Trzej np. pisarze, których dotychczasowa działalność zdała się dawać niejakie gwarancye powodzenia, w ostatnich dniach dozanli zawodu. Nie tyle jeszcze Ant. Jul. Barilli, sympatyczny nowelista ze swym przerobionym z powieści *Stryjem Cezarem*, typem starego patryoty, który po latach 30 wraca do stolicy i nie czuje w nowem towarzystwie pod nogami gruntu, ile Paolo Ferrari, którego *Rozwód*, komedya, rozpoczynająca i kończąca wszystko w znakomitym pierwszym akcie, w gabinecie prezydenta trybunału, gdzie w arcymistrzowskim dyalogu strony i ich adwokaci wytaczają swoje za i przeciw, podczas gdy dalsze akty są zlepkiem scen, kraszonych gdzieniegdzie udatnym komizmem, a wstrętnych zawsze, gdzie występuje karykaturalnie niegodziwa figura hrabiego Leonarda — upadł na cztery łapy, ile Achille Torelli, którego *Dzisiejsze damy* zaledwie po upadku zaczynają się podnosić. Boć i trudno oryentować się samym autorom, jaki rodzaj może przypaść publiczności do smaku, skoro np. Chinsoli za komedyę *Miss Bella* wywoływany był w Bolonii dwanaście razy, a w Medyolanie publiczność przed końcem zmusiła spuścić zasłonę.

Prócz tych autorów ma jeszcze Italia Giacomettiego, obdarzonego bogatą dramatyczną fantazyą, ma Piotra Cossę, który pragnął restaurować dramat historyczny, ale przywalony tym kolosem, dźwignąć się nie może; ma wreszcie teatr dyalektyczny, który jednak wbrew nadziejom z bogatymi pokładami narodowej żywotności się nie zdradza.

Najprościej wytłomaczyć sobie ów upadek tem, czem go wytłomaczył autor artykułu w „Nowej Antologii“: *Komedya XX w.* *). Teatr upada w całej Europie, nawet we Francyi, a raczej *dlatego*, że we Francyi, skutkiem owej fatalności, która pozwala pewnym rodzajom kwitnąć tylko w pewnych epokach; nie dziw więc, że upada i w Italii. Pomijając historyczno-literacki wstęp, nie wszędzie oparty na gruntownej znajomości rzeczy, a w niektórych sądach, jak np. w ocenie dzisiejszej komedyi francuzkiej, nie ze wszystkiem sprawiedliwy, podkreślimy jedynie pytanie założenia: jak musi wyglądać komedya XX w.—i powtórzymy w streszczeniu odpowiedź autora. Jak poezya i sztuka, tak scena zginąć nie może, mimo, że im niektórzy **) taką ostateczność wróżą; funkcya socyalna komedyi nie przestanie być użyteczną, co jej istnienie zapewni — tylko upadłszy dzisiaj, musi dla podźwignięcia się poszukać sobie formuły nowej i takiej, która dotąd się nie zjawiła, boć i stosunki społeczne nie istniały przed dniem dzisiejszym w dzisiejszej formie.

Sztuka starożytna przyjmowała za motor w dramacie fatalność zewnętrzną, boską, w komedyi satyrę polityczną i osobistą. Sztuka średniowieczna opierała się w dramacie na religijnej egzaltacyi i strachu, w komedyi na humorze fantastycznym i rubasznym, podchwytującym ułomności i kontrasty zewnętrzne w śmiechu płaskim i tłustym, niesięgającym celami po za siebie.

Sztuka Odrodzenia założyła dramat na namiętnościach ludzkich, tłukących się o fatalności socyalną i historyczną; komedyę zaś na wykrywaniu ludzkiego występku szyderstwem świadomem i karcicielskiem, satyrą nieosobistą, ujmowaniem śmieszności w figury typowe. Sztuka nowożytna wreszcie, zachowując zdobycze Odrodzenia, obchodzi zrazu rewolucyę idealną i polityczną świata cywilizowanego, wyzwalając w formule romantycznej uczucie, a dziś w wyuzdaniu uczuciowości i cynizmu kończy zaprzeczeniem dramatycznej i komicznej prawdy bytu.

Komedya przyszłego stulecia, według autora, wypłynie z idej rewolucyi 89 r., która stworzyła stan mieszczański; tylko już objawi nie tryumfy, ale upadek mieszczaństwa. W tej namiętnej walce burżoazyi z nowymi panami, w tej rewolucyi, która się gotuje, znajdą się dla niej żywioły boleśno-komiczne, głęboko humorystyczne; znajdą się typy i dokumenty ludzkie, mające sto lat istnienia, więc i kontury wybitne.

Tutaj autor zbaczając od założenia, przestaje wywodzić indukcye i zamiast domysłów, jaką ta komedya będzie, daje porady, jaką być powinna: metodzie wskazuje największą szczerość wyrażenia, aby z niej wyłoniła się wielka prawda ludzka, jedyna podstawa sztuki nowożytnej, co nie znaczy, jakoby autor proponował metodę naturalistyczną (lub jak ją nazywają włosi: werystów); ta przedstawia indywidua, nie zaś typy, niezbędne w komedyi.

Forma ma strząsnąć z siebie wszystkie zakazy konwencyi; z organizmu scenicznego mają się usunąć wszelkie zawikłania, intrygi, cała maszynerya starej *Commedia dell'arte*: akcya ma wypływać swobodnie z rzeczywistości a razem fantazyi poety. Wszystko ma być przewiane szekspirowską świadomością tragikomicznych fatalności bytu, umocowane wynikami nowoczesnej wiedzy.

Ostatnia ta część artykułu nie wykazuje tej genialności pomysłów, jakiejby ponętny wymagał tytuł; nie rozszerzamy się też nad nią, sprawdziwszy jedynie, że przedmiot podjęty zręcznie i na czasie.

Egrot.

*) Pisownia rzeczonego czasopisma.

*) Nuova Antologia. 1 Novembre 1887. Fornoni: *La commedia nel Secolo XX.*

**) Np. Ernest Renan.

LITERATURA RUSKA.

Współczesna poezya ruska. — Fofanow. — Minskij. — Tołstoj w krytyce literackiej i opinii publicznej. — Dwa pokrewne duchy.

Obecnie literatura ruska obfituje w utwory rymowane. Po Nadsonie, Frugu, Apuchtinie, Andrejewskim ukazał się w r. b. zbiór poezyj Fofanowa. Dziwne wrażenie robi ten autor: nieudolność połączona z talentem. Drukował dużo w pismach podrzędniejszych, następnie, jako zanadto czuły ojciec, nie chciał skrzywdzić żadnego dziecka swej myśli. Tem się tłomaczą niespodzianki: obok perełki koszlawizna nieudolna. Zanadto rozigrana fantazya tworzy nieokiełznane obrazy, pełne szumu i trzasku, a ubogie w logikę. Tu i owdzie przebija się gorączkowe majaczenie chorego, znać zaciętą walkę z leniwą myślą i mozolne wyszukiwanie dziwacznych porównań. Nieraz początek wiersza świetny, lecz wtem niespodzianie fajerwerk niezgrabny przy końcu psuje całe wrażenie. Bywa naodwrót: początek lichy, koniec znakomity. Nadzwyczajna płodność autora powoduje częste powtarzania się w motywach, obrazach i pojedynczych frazesach; w jednem miejscu:

„krople łez srebrzą się w urnie wspaniałego tulipanu,“ w drugiem: „w ognistej urnie tulipanu drży jasną łezką rosa.“ Najbardziej nuży czytelnika przy obfitości materyału monotonność i ubóztwo treści. Rzadko gdzie dźwięczy nuta współczucia dla cierpień ludzkich, lecz i ta wygląda, jakby zaczepiona była niezgrabnym palcem przy wydobywaniu innych tonów. Poezya wpada w suchą prozę, gdy autor wdaje się w rozumowania filozoficzne. Pomimo tych wszystkich braków w większości utworów, gdyby przesiać je przez gęste sito, wysypałyby się prawdziwe cacka, nie wybitne treścią i kadencyą, ale mogące zachwycić samą tylko formą.

Od lat niespełna dziesięciu tuła się po rozmaitych pismach poeta Minskij. Chociaż utwory jego nie doczekały się dotychczas jeszcze oddzielnego wydania, wszakże dla społeczeństwa ruskiego nie jest on już obcym. Znamienną jego cechą — bogactwo treści. Nie zasklepia się w jednym szczupłym światku, nie daje się porywać jednym rodzajem uczucia, nie mozoli się nad wyszukaną formą. Rzadko bywa tendencyjnym lub objektywnym, do każdego niemal obrazu i sceny wnosi barwę egotyczną z nastrojem wszakże różnorodnym: przeplatają się nawzajem tęsknota, nadzieja, smutek głęboki i radość. Krytyk Arseniew słusznie nazywa go śpiewakiem miłości w najszerszem znaczeniu tego słowa. Kocha lud i wyraża to uczucie w pieśniach, w formie czasem Niekrasowskiej. Nie ogranicza się na jednej kaście, darzy swem sercem nieraz całą ojczyznę: „Bogataś ty z natury, dla czegoż szczęścia w tobie, ojczyzno, niema? Dla czego twój naród - Tantal cierpi, ubogi we wszystko, tylko w męczarnie bogaty? O lepszą przyszłość troszczy się tak mało, jak żołnierz o wypoczynek na godzinę przed bitwą.“ Kraj swój nazywa ziemią łez niewypłakanych, porywów nieoględnych, sił nierozbudzonych, marzeń niespełnionych, zagadek nierozwiązanych („Pieśni o ojczyźnie“). Nadson w ostatnich czasach był poetą młodzieży współczesnej; Minskij w takim samym stosunku zostawał do młodego pokolenia w końcu przeszłego dziesiątka lat. Wszakże ani jeden ani drugi nie skupili w sobie wszystkich dążności i potrzeb danej epoki. Pomimo to obaj pojęli bardziej ducha czasu niż wszyscy inni współcześni poeci ruscy. W utworach obydwóch znać jaskrawe piętno ściśle określonego swego czasu. Nie można jednak z tego przepowiadać im krótkowieczności. W pieśniach Minskiego dźwięczą ponure nuty, nie z odcieniem powszechnego dziś pesymizmu; więcej się w nich przejawia tęsknota za wiarą utraconą. Tony owe pojedyncze nikną w weselszych i jaśniejszych akordach. Spokój i nadzieja tłumią skargi. Nawet gdy poeta tworzy pod wpływem goryczy, przez szary mrok przebija się często promień jasny. Wielką zaletą utworów Minskiego jest równość pod każdym względem; gdzie treść piękna, tam i forma odpowiednia.

Żaden bodaj z pisarzów rosyjskich nie zaprzątał do tego stopnia opinii publicznej charakterem swych idej, co hrabia Lew Tołstoj. W ostatnich czasach utworzyła się o nim już cała literatura. Przy sprzecznych zdaniach dźwięczy ogólna nuta żalu i czci dla jego działalności i talentu artystycznego: Od chwili gdy pisarz ten, nie poprzestając na samym artyzmie, zaczął stawiać i rozwiązywać kwestye religijne, moralne i socyalne, z artysty przedzierzgnął się w filozofa, apostoła i publicystę, zdania publiczności stanowczo i szybko się podzieliły. Bardzo wiele uwierzyło w proroctwo, inni, również liczni, odpowiedzieli niewiarą. Do wierzących należała przeważnie młodzież. Znalazła ona w nowych utworach Tołstoja oryginalne myśli, nawoływania, napomnienia. Podążyła więc za nim, ubierając własne idealne porywy w szatę wielkiego człowieka. Działały tu silnie na umysły obrazy moralnego rozdźwięku i niedoli społecznej, którymi są przepełnione utwory pisarza. Działały też z równą siłą niektóre pisma w prywatnym tylko obiegu. O nich krytyka odzywała się półszeptem, jako o rzeczach nie wychodzących na widownię publiczną. Autor dotykał zagadnień moralnych i społecznych dorywczo, niejasno, plątał się. Z początku krytyka zachowała się tchórzliwie, potem w miarę większej popularności nowych pism, wynajdywano przeróżne najdziwaczniejsze powody dla rozprawiania o nich. Recenzent rozmawiał z urojonym przeciwnikiem, mówiącym słowami Tołstoja, miewał sny i w nich się stykał z nowemi teoryami pisarza. Jeden z odważnych krytyków, pod pozorem cytat, przedrukował prawie całą „Spowiedź.“ W obecnej chwili możność rozprawiania o traktatach powyższego autora jeszcze się bardziej ułatwiła, ale nie w zupełności. Najwybitniejszą jest broszura Skabiczewskiego p. t.: „Hr. Tołstoj jako artysta i myśliciel“ (Petersburg, 1887). Działalność Tołstoja — powiada autor — ma wiele wspólnego z fazami twórczości Gogola. Najpierw odtwarzał on w utworach życie tak, jak się ono mu wydawało w jego spostrzeżeniach artystycznych. Pomimo takiej na pozór bezcelowości, każdy płód jego wyobraźni miał doniosłe znaczenie. W końcu tej epoki twórczości zaczął pisać *Martwe dusze*, mając pierwiastkowo na względzie tylko kilka szkiców obyczajowych ruskiego zakątka. W epoce mistycyzmu jął dążyć ku temu, iżby każdy krok jego w życiu był zrobiony ku wyższym celom. Zaczął zadawać sobie pytania: „Po co ja piszę? Jaki cel w tem ośmieszaniu płytkości?“ Cała jego działalność literacka wydała mu się bezcelową, starał się więc sztucznie ją nakręcać do swoich ideałów. W drugiej części *Martwych dusz* Gogol artysta przedzierzga się w mistyka. Zjawiają się typy wzięte z życia, ale fantastyczne. Dalej idą roztrząsania mistyczne i należy przypuszczać, że gdyby mu się udało skończyć ten utwór, to w trzeciej części nie byłoby już ani śladu artyzmu, charakterów, scen, lecz tylko szereg traktatów. To samo u Tołstoja. Zrazu twórczość artystyczna, następnie powieść *Wojna i pokój* ulega temu samemu losowi, co *Martwe dusze*. Trzy pierwsze części bez zarzutu, nawet są czemś niebywałem w literaturze ruskiej. Dalej uwydatnia ich z góry obmyślona tendencya, chęć filozofowania i nauczania. W ostatnich utworach widoczne to jeszcze bardziej. Mylne to jest dopatrywanie tak u Gogola jak i u Tołstoja nagłego przełomu w twórczości. Po ukazaniu się pierwszej części *Martwych dusz*, krytyka ówczesna już zdziwiona była „lirycznymi ustępami.“ To samo u Tołstoja dostrzedz można wcześniej, przed stworzeniem *Wojny i pokoju*, jeszcze w „Jasnej Polanie.“

Zenon Pietkiewicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Arcyb. Dinder jako ilustracya Leona XIII. — Dary dla „ojca św.“ — Świątobliwa matrona i pobożny szewc. — Napomnienia Mickiewicza. — Przydałby się.—Patryotyzm zapisany do protokółu.—Niemiecki organ katolicki dla germanizacyi Szląska. — Rzecz pewna. — Kilka pytań. — Protestujący bohaterowie. — Wypadek *Tygod. powsz.* — Nabytek Zwierzyńca i jego przyszłość. — Burza w Resursie Obywatelskiej. — Najtrudniejsza partya.

W chwili, kiedy arcybiskup Dinder, przedstawiciel polityki papiezkiej w Poznańskiem, rozesłał do katechetów szkolnych okólnik, ażeby religię w gimnazyach wykładali po niemiecku, świętobliwe dusze poznańskie ogłosiły szereg darów dziękczynnych przygotowanych na jubileusz dla Leona XIII. Jeżeli tamtejsi katolicy za kamienie watykańskie odrzucają „ojcu św.“ jedwab, złoto i klejnoty; jeśli nawet wiec, zwołany dla wyrażenia protestu przeciwko usunięciu mowy polskiej ze szkół poznańskich, uchwalił złożenie „hołdu“ temu tak czułemu, jak „świętemu“ ojcu, który tę mowę z wykładu religii wygnać pozwolił, czemużby dewotki i dewoci tutejsi, którzy zdala patrzą na niedolę swojaków, czemużby ta rzesza, która na własnej skórze nie ma wypisanych „błogosławieństw“ papieża, tylko je czyta na braterskiej, nie miała mu słać pod nogi dywanów, zdobić komnat sprzętami i napychać kieszeń pieniędzmi? Jedno z pism doniosło, że pewna pobożna niewiasta nasza ofiarowała parę kroć sto tysięcy rubli biedakowi z Watykanu. Brawo! zacna matrono polska! Niech ci niebo stokrotnie wynagrodzi tę szlachetną daninę, odjętą od ust naszej nędzy, która stoi pod Towarzystwem Dobroczynności z wyciągniętą ręką i żebrze możnych o zapomogi na ochrony, przytułki, szpitale i skarbonki dla ratunków doraźnych. Niewątpliwie Leon XIII i z tym darem postąpi, jak z infułą arabską: naprzód „wielce się ucieszy,“ potem „schowa do osobistego archiwum,“ a wreszcie „czule pobłogosławi.“ Pewien szewc znowu „czyni wniosek“ w *Kuryerze codz.*, aby w jego zawodzie wszyscy, „poczawszy od najbiedniejszego terminatora a skończywszy na najbogatszych majstrach, wedle możności ofiarami swemi wybudowali ołtarz, poświęcony czci Leona św.“ Leon św. w niebie byłby z takiej ofiary bardzo zadowolony, ale wątpię, czy ona go ucieszy związana z jubileuszem papieża. Przypuszczam bowiem, że Leon święty z Leonem XIII mniej sympatyzuje, niż szewc warszawski, który za 30 kop. składki został ukazany światu. Kiedyś Mickiewicz, który żył za Piusa IX, człowieka po swojemu zacnego i rzeczywiście życzliwego polskim synom Kościoła, pisał: „Co Chrystus Pan przyjął od niewiasty w Betanii, co na nią sprowadziło przebaczenie grzechów, nie była to woń, którą namaściła nogi i głowę Zbawiciela świata, ale miłość napełniająca jej duszę, naczynie kosztowne, które rozbiła, było to własne serce, co się otworzyło. Pieniądz, który dajecie namiestnikowi Chrystusa, nie porównywajcie go z wonią miłości Magdaleny; jest to worek Judaszowy, wypróżniony u nóg jego.“ A jak gdyby przewidywał, że kiedyś narodzi się w Warszawie poważnie humorystyczny *Przegląd katolicki*, zardzewiały grzmot z *Pięknej Heleny*, huczący przeciwko liberałom, dodał: „Tak, płaczmy, płaczmy wszyscy gorzko, bośmy się wszyscy zaparli, ale płacz i ty z nami Najwyższy Kapłanie, któremu Chrystus swój Kościół powierzył. Wy księża i prałaci — nie mówcie, że ludy was opuszczają, wyście je opuścili; one was szukały na waszem stanowisku i nie znajdują was; one chcą się podnieść a wy się zniżacie. Wy posiadacie niczem niezwalczoną siłę, bogactwo nieginące i dające życie, a wyście porzucili te skarby niebieskie dla ziemskich, które zabijają ducha.“ Gdyby Mickiewicz dotąd żył, niezawodnie albo by się wyleczył ze swych złudzeń co do tej „niezwalczonej siły,“ albo przypiekłby „najwyższemu kapłanowi“ i najniższym *labusiom* tak świątobliwe czoła piętnem, że nie zatarłyby tego znaku wszystkie cudotwórcze wody. Na „pozytywistów“ wymyślać łatwo, ale przed Mickiewiczem trzeba zdjąć nawet infułę. Szkoda, że ten wielki katolik — bo katolikiem był — nie stoi nad nami z piorunem w ręku i nie straszka nim tych obłudników, którzy uczucia religijne narodu wypompowywują w samolubne wiadra politycznego jezuity. Nie mając tej mocy i wpływu, co Jowisz naszego Olimpu, zwykli śmiertelnicy zapiszmy tylko do protokółu dziennikarskiego, że w czasie, kiedy Leon XIII obdarzył największego ciemiężyciela polaków orderem Chrystusa, kiedy

zgodził się na zamianowanie dla nich arcybiskupem niemca i usunięcie ze szkół języka polskiego w wykładzie religii, kiedy uczczony przez niego „kawaler" legii papiezkiej wypędził 30,000 niewinnych ludzi, katolików, z ziemi ojczystej, w tym czasie świętobliwe córki i pobożni synowie Kościoła polskiego słali owemu Leonowi XIII wyrazy hołdu i dary dziękczynne na jubileusz. Niech pamiątka tego faktu pozostanie dla przyszłości.

Tylko czcigodna, wysoce patryotyczna rzeszo, miej odwagę wypić kielich swej rozkoszy do dna i nie oburzaj się na krewniaków w duchu, którzy są logiczniejsi od ciebie a nadewszystko wierniej spełniają komendę naczelnego wodza. Ponieważ papież tyle dba o polaków, ile o najmizerniejsze zabytki archeologiczne muzeum watykańskiego, tylko pragnie mieć katolików w jakiejkolwiek skórze narodowej, przeto możnowładcy szląscy, niemcy, pod wodzą księcia raciborskiego, zakładają pismo dla niszczenia łupin polskich bez naruszenia ziaren katolickich — czyli dla giermanizacyi ludu polskiego. „Nie ulega kwestyi — mówi *Gazeta warsz.* — że przy ogromnych zasobach materyalnych i wpływie, jakim rozporządzają jego założyciele, nowy organ czas jakiś wieść będzie błogi żywot; lecz niemniej jest rzeczą pewną (!), że niemcy katolicy, a tem bardziej polacy na Szlązku, czytać nie będą tej *sui generis* gadzinowej gazety." O tej „pewności" zwłaszcza co do niemców pozwalam sobie mocno wątpić i przypuszczam, że nawet korespondenci *Gazety pols.*, ludzie w tych sprawach, pomimo smutnych doświadczeń, najwytrwalszej „ufności," w duszy podzielą moją niewiarę. Ale jakkolwiek będzie, warto sobie uświadomić, kto jest właściwym ojcem tej „gadzinowej prasy *sui generis?*" Czy przypadkiem nie Leon XIII, który w swej „mądrej dyplomacyi" Kościoła zniszczył zasadę narodowości? Czy katolicy niemieccy odważyliby się giermanizować lud polski, gdyby tej roboty nie błogosławił z Watykanu „namiestnik Chrystusa"? Czy jedno jego słowo głośne, jeden szept cichy nie powstrzymałby tych zamachów? Kto więc zniósł jajka, z których się wylęgły owe „gadziny"? Nie ma śmiałości na te pytania szczerze odpowiedzieć „konserwatysta" polski, bo już tylko służebnikiem być umie, bo mu na sumienie narodowe padła pleśń klerykalna, bo się wlecze bezmyślnie za obozem „czarnej międzynarodówki," w gromadzie jego ciurów.

Gdybyśmy z bieżącej literatury naszej wybrali te kokony, których oprzęd zawiera nici istotnie przydatne dla jej cennych tkanin, baba idąca na targ zmieściłaby w swym koszu wszystkie, obok kopy jaj, kilku osełek masła i sera. Inaczej to bogactwo wygląda, jeśli na nie spojrzymy przez szkła reporteryi, przyjacielskiej reklamy i fabrykacyi „sylwetek." Wtedy zobaczymy gęsty rój jedwabników, zobaczymy tłum znakomitości, o których już synowie nasi nic wiedzieć nie będą, zobaczymy pełną talię tuzów, podrobionych z dwójek, trójek, dziesiątek itd. przez wyskrobanie. W ostatnich latach zaczęto niewodem o maleńkich oczkach wyławiać i ukazywać światu te grube ryby tak skwapliwie, że człowiek, który napisał podanie o paszport lub ogłoszenie do dzienników, mógł się znaleźć w galeryi sławnych mężów. Dla ludzi rozsądnych te bilety bezpłatnej jazdy ku krainie chwały publicznej stały się wprost przykre. Niektórzy — np. p. L. Krasiński, aż protestowali przeciwko wyszrubowywaniu ich ku wyżynom. Nareszcie zdarzył się fakt przedziwnej zabawy. *Tygodnik powsz.*, organ dobrodusznej, ale niebywałej naiwności, zaczął drukować studyum nad p. Arturem Gruszeckim, niegdyś wydawcą i autorem kilku artykulików. Już widocznie mimowolny humor poszedł za daleko, skoro sam bohater przesłał do redakcyi tego pisma list następujący: „Otrzymawszy ostatni numer *Tygodnika powsz.* zobaczyłem swoją sylwetkę. Ponieważ ani moje stanowisko, ani zasługi na podobne wyróżnienie nie zasługują, upraszam najuprzejmiej o przerwanie tego artykułu." I artykuł przerwano; innemi słowy: redakcya od swego bohatera dopiero dowiedziała się, że on jest najzwyklejszym śmiertelnikiem. Jest to wypadek zarazem wesoły i niebezpieczny. Bo nuż za śladem p. Gruszeckiego pójdą wszyscy, o których rozpocznie pisać *Tygodnik* i „poproszą uprzejmie o przerwanie artykułów" — co wtedy będzie? Plutarch ze swymi bohaterami nigdy nie dojedzie do końca.

Zwierzyniec warszawski i Resursa Obywatelska dojechały nareszcie. Trudno wszakże powiedzieć, czy pierwsza z tych instytucyj ma zapewnione istnienie. Dotąd nie posiadała ani dostatecznych środków, ani własnej siedziby. Środki pozostały nadal zawieszone w mgłach nieokreślonej nadziei, siedzibę od właściciela nabyto. Ale i z tym fantem trudna będzie rada. „Bagatela" jest bagatelą, maleńkim ogrodem, w którym obecna, szczupła gromadka zwierząt ledwie się mieści i zepsutem powietrzem oddychać musi, a pomnożona znacznie nie znalazłaby przestrzeni. Skutkiem tego Zwierzyniec jest skazany na życie miniaturowe bez rozwoju, a jego załoga na — niezdrowie i śmiertelność. „Bagatelę" kupić należało, ale, jeśli całe przedsięwzięcie nie ma być bagatelą, trzeba koniecznie rozszerzyć jego ramy — powiększyć nowymi nabytkami placów sąsiednich przestrzeń dotychczasową. Dla naszych wołów, krów i koni byłaby ona dostateczną, ale nie dla zwierząt przywykłych do innego klimatu i świeżego powietrza. Jest to wprost oburzającem, że w kraju, gdzie stróż domu żyje z kilkorgiem dzieci w trzyłokciowej norze pod schodami, małpa lub żbik wymagają szerszego pomieszczenia—ale cóż robić! Czasem łatwiej zaspokoić człowieka, niż małpę.

Łatwiej można było spodziewać się, że Hercegowina wywoła wielką wojnę, a Bułgarya wielkie przewroty polityczne, niż to, że Resursa Obywatelska, której ściany słyszały tylko kłótnię przy zielonych stolikach, zamieni się na zbiornik wzburzonych namiętności. Pomiędzy członkami, akcyonaryuszami, właścicielami obligacyj, zarządem, komitetem i kimś tam jeszcze (określenia stosunku tych potęg nie podejmuję się) wybuchło gwałtowne starcie. Iskierką było niezabalotowanie kogoś, a z pretensyi formalnej wywinęła się materyalna. Rozprawiano, kłócono się, opuszczano salę, podpisywano protest, godzono zwaśnionych, żądano dymisyi, nie przyjmowano jej — niech zręczniejsze od moich ręce rozplączą to powikłane pasmo pretensyi, bo ja nie zdołam. Dosyć, że ostatecznie, jak zwykle, z tej targaniny wylazł brak pieniędzy, długi i potrzeba spłacenia ich. Mają tedy za miesiąc odbyć się wybory na przedstawicieli i członków komitetu, którzy rozegrają najtrudniejszą z partyj, jakie grywane były w Resursie, partyę o 45,000 rs. potrzebnych na pokrycie należności. Życzę szczęścia, choć nie będę opłakiwał niepowodzenia klubu, który na nasze życie społeczne żadnego wpływu nie wywiera.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Sprawy żydowskie. — „Środki ratunkowe," obmyślane przez komisyę kowieńską. — Gospodarka chłopsko-żydowska. — Dobrobyt czeski na polskiej ruinie. — Pobożny pan. — Podniesienie ducha przedsiębiorczego w szlachcie przez p. Glogera. — Nielegalna uczciwość. — Fabrykant wypłacający pięścią i kolanem. — Maszyny na raty, czyli oszustwo. — Nowe cięgi na pokątnych doradców.

Kwestya żydowska — to zmora od wieków nas dławiąca. W chwilach wielkiego pognębienia materyalnego radzi do niej wracamy, usiłując skupić przeważnie w ten punkt wszystkie swe dolegliwości. Włościanka białorusinka, gdy ją ciężka boleść dotknie, krzyczy i zawodzi okrutnie; takie wyładowanie siły nerwowej znaczne jej ukojenie przynosi. Szlachta nasza podobna pod tym względem do chłopki; w całym kraju lamentuje, wyrzeka na żydów, co się zmieści. Ile to pociechy jej przynosi, nie mogę zbadać. To tylko wiadomo, że istotnie przedsiębiorcza rasa semicka potrafiła zbić z nóg niepowrotnego olbrzyma i teraz siedzi na jego karku, nie zważając na wrzaski. Gdyby wszakże jakaś ręka silna zdołała odrazu znieść tych szkodników, krzywdzeni wołaliby znowu o wyzwolenie ich... z pustkowia. Charakterystyczne stosunki kreśli korespondent *Kraju* z Kowna. Na Żmudzi kupiec chrześcianin jest białym krukiem. Handel zbożem po kilku niefortunnych próbach zawiązania bezpośrednich stosunków z miastami portowemi, powrócił znowu najzupełniej do rąk izraelskich. Nie usiłowano też wcale wyzwolić kroci, któremi się wzbogacają wyznawcy Mojżesza, pobierając je w odsetkach od wypożyczonych kapitałów i kapitalików. Jest tam wprawdzie *kilkadziesiąt* towarzystw kredytowo-zaliczkowych, kilka instytucyj wzajemnego kredytu, „lecz są to rzeczy *tak drobne* wobec pożyczek żydowskich, że o nich zaledwie wspomnieć warto." Wszechwładny motor ekonomiczny — semici, zagarnęli całą działalność pośredniczenia między wytwórcami i spożywcami. Są oni o tyle potrzebni i pożyteczni, iż nie można się obyć bez rozmaitych rodzajów ich posług, „bo nie istnieje śród nas żadna grupa zdolna w tem ich zastąpić."

Długo szukano środków zaradczych, nareszcie poruczono tę czynność „komisyom." Zobaczmy! Dla dodania sobie bodźca jedna z nich (w Kownie) przedewszystkiem zajęła się ułożeniem litanii postępków żydowskich: zabijanie u chrześcian wszelkiej przedsiębiorczości; solidarność plemienia koczowniczego i zgubna praktyka zmów uniemożliwiają wszelkie współzawodnictwo na polu handlowem; demoralizowanie, rozpajanie ludu w szynkach jawnych i tajemnych. Dalej: lichwa, rabunkowe gospodarstwo na ziemiach dzierżawionych, skup produktów włościańskich na miejscu za bezcen, oszustwa, podejścia osób prywatnych i władz, organizacye przestępnych przedsiębiorstw, systematyczne uchylanie się od służby wojskowej itd. Na zniesienie tylu krzywd, wyrządzanych społeczeństwu, uradzono również długi szereg środków ratunkowych. Wiele wad żydowskich — twierdzi komisya — bierze źródło w nadmiernem zgęszczeniu izraelitów w prowincyach zachodnich. „Jeżeliby ich było mniej, to staliby się niezawodnie lepszymi, gdyż współzawodnictwo między nimi samymi byłoby mniejsze." A więc ułatwić im rozsiedlenie się. Lichwiarstwo można przeciąć energiczniejszą opieką nad towarzystwami zaliczkowo-wkładowemi i założeniem dostępnej dla włościan instytucyi wzajemnego kredytu. Dla przerwania zgubnego wpływu na lud, trzeba zamknąć wszystkie szynki przy *małych* drogach (przy *wielkich* moralność pewno nie zabłądzi), po wioskach odległych od miasteczek mniej niż o 5 wiorst, określić prawem liczbę karczem w każdej miejscowości, tak iżby na 500 mieszkańców wypadała jedna. Uchylaniu się od służby wojskowej możnaby zapobiedz przez odbywanie jej w miejscu pierwotnego zapisu. Szkodliwy wpływ na samorząd miast komisya radzi usunąć przez *wydzielenie żydów w osobną kuryę*, któraby odrębnie od chrześcian wybierała przepisaną przez prawo liczbę radnych. Wszystko w tych projektach i wnioskach jest prócz... nowych spostrzeżeń. Nie mogę jednego zrozumieć. Jakim sposobem krzycząco niezgodne zdania w memoryale *najzgodniej* potwierdzili wszyscy członkowie komisyi? Ułatwienie rozsie-

dlenia się żydów i... *osobne kury*! Czyli: asymilacya i utrwalenie odrębności! Szkoda, że ci „miejscowi rzeczoznawcy“ nie popracowali dłużej nad poznaniem własnych wniosków. Praktyka żydowska, jak jeż, im większe ujadanie, tem bardziej rzuca się kolcami na przeciwników. Na Wołyniu mnóstwo majątków wyczekuje dzierżawców, których dziś brak, bo dawni, wszystko straciwszy, nie mogą pracować dłużej na cudzej roli, a izraelitom prawa murem stanęły. Jednakże długie poły nie przeszkadzają przeskakiwać zręcznie przez te zawady. Na polach wołyńskich zaroiła się gospodarka „chłopsko-żydowska,“ a ziemia cierpliwa milczy, tracąc swe soki i siłę. Za to rykną jej właściciele, gdy zazielenią się skiby... chwastem.

Jęczą i teraz pod subhastą ziemianie wołyńscy wskutek „niemożności utrzymania się przy roli,“ a obok nich cieszą się dobrobytem przybysze. Od r. 1868 zaczęli tam osiadać czesi, nabywając po kilka lub kilkanaście morgów ziemi. Zrazu klecili budy i szałasy, potem z cegły surówki własnego wyrobu na kamiennych fundamentach wznieśli schludne, porządne dworki o szerokich oknach, kryte dachówką. Następnie ze starannie hodowanych krów pojawił się wyborny nabiał, porosły drzewa owocowe, grunty uprawiane lepszem narzędziem rolniczem, pokryły się ładną, bujną oziminą, koniczyną, jarzynami, w miejscowościach fabrycznych zaczerwieniły się przestrzenie od buraków. Drogi roją się wozami o żelaznych osiach. Powyrastały browary, szkółki czeskie (dziś już zamknięte). Okolica nabrała życia i cech cywilizacyjnych. Amatorskie przedstawienia teatralne (*narodne diwadla*), na które zapraszano sąsiednich obywateli, rozbudziły zainteresowanie ogólne. Miejscowi włościanie patrzyli zrazu na gospodarkę czeską z niedowierzaniem i kpili z niej, gdyż niepojętem dla nich było obywanie się bez systemu trójpolowego. Następnie uderzyły ich świetne rezultaty na ziemi przedtem zupełnie wyjałowionej, której nawet na trzeci lub czwarty snop nie chcieli brać. Wyjaśniła się w ich ciemnym umyśle tajemnica wytwarzania nawozu ze wszelkich odpadków domowych i liści zbieranych w lesie. Odtąd lud zaczął w wielu razach naśladować czechów i poprawiać swój dobrobyt. A „światli“ i nadal poczytują się za wyższych nad tę szkołę praktyczną, za to przepaściste ciemności coraz gwałtowniej ich ogarniają. Czechom należy przyznać wiele zasługi w podniesieniu kultury na Wołyniu. Powinni im dziękować obywatele miejscowi za fabryki narzędzi rolniczych w Dubnie, Hulczy, skąd się rozpowszechniły po kraju ręczne, jedno i parokonne młocarnie przenośne, których posiadacze wynajmują mniej zasobnej szlachcie i włościanom. Za to przyszłość dzierżaw dla polaków bezrolnych (może nie dla jednego z dzisiejszych posiadaczów ziemskich) smutnie się przedstawia, gdyż przybysze mogą ich zabić, bo gospodarują doskonale, postępowo na płodozmianach ulepszonemi narzędziami i silnym sprzężajem, chodzą sami za pługiem lub siewnikiem, używają do prac rolnych *wszystkich* członków rodziny. Korespondent *Gazety polskiej* radzi dzierżawcom brać przykład z owych praktycznych ludzi. Biedni, którzy swych braków nie widzą! Ten sam korespondent mocno ubolewa nad wstrętem kolonistów czeskich do praktyk religijnych, szczególnie do postów. Natura poskąpiła im obłudy. Może się litujący pocieszy, gdy mu przytoczę fakt poszanowania tej cnoty u nas. Znam obywatela z Piotrkowskiego, w skrytości ducha wielkiego pesymistę, co do spraw religijnych. Pomimo to zasługuje się przed Bogiem sprawianiem do kościoła ornatów, a lud się zachwyca i uwielbia „pobożnego pana,“ nie przeczuwając, że zdradza znakomity spryt jego. Praktyczny ziemianin umie godzić interesy „dworu“ z „chatą“ zapośrednictwem kościoła.

Inaczej chce podnieść ducha przedsiębiorczego w swych braciach wykształcony szlachcic p. Z. Gloger. „Gdy ziemianin ma kilku synów, a majątek jeden, jakże to byłoby chwalebne, gdyby jeden z nich wykształciwszy się na kupca, handlował zbożem wyprodukowanem przez swego brata, a drugi wełnę wytworzoną przez rolnika umiał przerobić na kort lub sukno! Nie narzekalibyśmy wtedy, że w handlu zbożowym wyzyskują nas zsolidaryzowani żydzi, że w przemyśle wełnianym zalewają nas i monopolizują niemcy.“ W prowincyach zachodnich są miasta liczące po dwadzieścia i czterdzieści tysięcy mieszkańców, w których niema ani jednego krawca chrześcianina. W pow. białostockim na kilkadziesiąt fabryk wełnianych jedna tylko należy do polaków pp. Łyszczyńskich. Gdyby przed pół wiekiem — powiada p. G. — do pierwszych zakładów w Łodzi, Zgierzu, Opatówku garnęła się młodzież nasza na naukę, moglibyśmy już dotąd mieć własny przemysł sukienniczy.“ W sam czas polak zaśpiewał swe przysłowie.

Straszne tortury moralne cierpią ci, co żyją w wiecznej obawie utraty zarobku. Biedacy ratują spokój i byt przesadzoną gorliwością, nie zawsze szczęśliwie. Wierne legawcy nie wiedzą, kiedy spadnie bat na ich skórę za usługi. W takiem położeniu — według słów *Tygodnia* piotrkowskiego — znalazł się kasyer na jednej ze stacyj drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, w miejscowości słynnej z rozbojów i złodziejstwa. Wiedziony złem przeczuciem, zabrał do domu na noc 17,000 rs. W kilka godzin potem złodzieje rozbili kasę i zabrali stamtąd pozostałe 200 rs. Nazajutrz oficyalista uszczęśliwiony ocaleniem znacznej sumy, co żywo doniósł o tem władzy. Prostak, nie wiedział, że popełnił zbrodnię poruszeniem pieniędzy, za co został przedstawiony do dymisyi. Prawo karze *nielegalną* uczciwość. Wszakże ten sam urzędnik miał wyborną sposobność zataić przechowane pieniądze. Możeby się utrzymał na służbie. Za to są pancerni wobec kary możnowładcy. Jeden z nich w Łodzi, właściciel przędzalni, kazał wypoliczkować i wyrzucić za drzwi młodzieńca, który się ważył przyjść doń z rachunkiem od swego chlebodawcy.

Panowie fabrykanci i składnicy wprawili w zachwyt wielu korespondentów sprzedażą maszyn do szycia na przystępne raty miesięczne, przeważnie włościanom. Lecz oto *Gazeta sądowa* zdjęła maskę z oblicza tych „dobrodziejów“... własnej kieszeni. Okazało się, że sprzedaż to pozór. Maszyny właściwie są tylko wydzierżawiane na piętnastomiesięczny okres za opłatą 4 rs. miesięcznie. W kontrakcie, prócz wielu innych uciążliwych warunków, znajduje się zastrzeżenie, że w razie niezapłacenia w terminie żądanej sumy, właściciel ma prawo w każdej chwili zabrać maszynę (w praktyce zdarza się to często). Szwaczka za nieuiszczenie się choćby z *ostatniej* raty, traci bezpowrotnie maszynę i całą sumę poprzednio wniesioną. Właściciel fabryki, składnik lub jego agent, po zapłaceniu całkowitej kwoty w szesnastym miesiącu mogą zabrać przedmiot sprzedany, gdyż w kontrakcie mówi się tylko o dzierżawie, z zastrzeżeniem, że na kupno trzeba zawrzeć oddzielną umowę, która w rzeczywistości nie istnieje. Do wielu naszych zagadek przybywa jeszcze jedna: dla czego takie oszustwo nie znalazło dotąd przeszkody?

Cieszmy się! Może wyzysk po wsiach trochę osłabnie pod naciskiem nowych postanowień, aby każda prośba lub podanie w imieniu włościanina, była podpisana przez redagujących i przepisujących ze wskazaniem ich adresów. Za fałszywe nazwisko lub miejsce zamieszkania, winni podlegać będą odpowiedzialności sądowej.

Drogomir.

Z Muzeum Pszczelniczego odbieramy list następujący:

Wyczytawszy w nr. 48 *Prawdy* skargę zawiedzionych uczniów czy uczenic ogrodnictwa, zniewolony jestem wyświetlić, co następuje:

Na zasadzie własnej praktyki i tego, co uczyć mogli specyaliści, oraz obszerna literatura ogrodnictwa, przed kilku laty ułożyłem przystępny kurs tej nauki ogrodnictwa, a co streszczonem zostało w notatkach drukowanych w *Gazecie świątecznej* i naszem piśmie *Pszczoła*. Według tak wytkniętego programu i wskazówek, pszczelarki i pszczelarze w ciągu tylko dziesięciomiesięcznego terminu wyuczali się sadownictwa, warzywnictwa i kwiaciarstwa domowego. Że się wyuczali teoretycznie i praktycznie rzeczywiście, stwierdzonem zostało niejednokrotnie przez komisyę egzaminacyjną, a przecież specyaliści, którzy chcieli krytykować tak skróconym sposobem wykładaną naukę, po szczegółowym egzaminie paniom zaznaczyli stopnie celujące. Otóż i w r. b. trzymając się tych samych zasad, uczymy ogrodnictwa, a nawet z obszerniejszym programem, bo co się wykłada, zaraz i wykonywa na czasie (?). Ci sami ogrodnicy i instruktorowie, co i lat poprzednich, stanowią pomoc, a jeszcze przybył ks. Ambrożewicz, który jako dyrektor Muzeum, pilnuje praktyczności tej nauki.

Jakimże sposobem może powstawać narzekanie uczących się, a stąd zawody? Widocznie uskarżający się źle został poinformowany, albo czemś zainteresowany, kiedy taką drogą chce uchybiać wykładom i ubliżać osobom. Ks. Ambrożewicz, jako fachowy w pszczelnictwie i ogrodnictwie, przybył na usilne prośby i stał się dziś jedyną podporą, mogącą utrzymać całą instytucyę w należytym porządku.

Zechce przeto Szan. Redaktor pomieścić niniejsze wyjaśnienie w swem piśmie, a o ile jest potrzebnem przekonanie się, to codziennie o godz 11-ej z rana do 1-ej po południu odbywają się praktyczne wykłady na przemian: jednego dnia pszczelnictwo, drugiego ogrodnictwo.

Kazimierz Lewicki.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. W teatrze warszawskim występował w kilku rolach aktor krakowski Frenkel z wielkiem powodzeniem. Utalentowany artysta powinien być zyskany dla naszego teatru.

Gwiazdkę — zamiast dawnego bazaru i kiermaszu — urządzono w salach Resursy Obywatelskiej na dochód Towarzystwa dobroczynności. Pod tym tytułem i na tenże cel wydano zbiorek literacki.

Wystawę szkiców otwarto w galeryi Krywulta.

Podatki. Projekt podatku od osób uwolnionych od służby wojskowej, z powodu wyciągnięcia wysokiego numeru przy losowaniu, opracowano w szczegółach. Przedstawiony będzie wkrótce Radzie Państwa.

Odroczenie. Projektowaną przemianę Instytutu muzycznego w Warszawie odłożono na czas nieograniczony.

Józef Rawa, polak, otrzymał posadę inżeniera naczelnego budującej się kolei w Bombaju.

W Poznańskiem własność hr. Izabeli Tyszkiewiczowej, Siedlec, sprzedaną została komisyi kolonizacyjnej.

Dla zachęty i rozpowszechnienia uprawy tytoniu, ministeryum skarbu przygotowało projekt rozmaitych ulg i ułatwień dla plantatorów i fabrykantów wyrobów tytuniowych, posiadających plantacye własne.

Dowódca warszawskiej straży ogniowej czyni starania, aby strażakom, wstępującym do służby w charakterze ochotników, a należącym do poboru wojskowego, służba w oddziałach straży liczoną była na prawach wojska regularnego.

Przemysł. Nieczynna od dawna fabryka świec stearynowych we Włochach pod Warszawą, po wprowadzeniu pewnych ulepszeń, na nowo odżyła.

Departament przemysłu i rolnictwa postanowił zamknąć niezwłocznie fabryki zapałek, których właściciele nie zaprowadzą zupełnie nieszkodliwych sposobów fabrykacyi.

W ministeryum spraw wewnętrznych odbyła się narada, na której uchwalono nowe przepisy o naturalizacyi cudzoziemców.

Sądy handlowe. W ministeryum sprawiedliwości opracowywany jest obecnie projekt przekształcenia sądów handlowych w celu uproszczenia i przyspieszenia biegu wszystkich wogóle spraw, należących do zakresu tych instytucyj.

Trudna operacya. Dr. Władysław Krajewski w szpitalu Dzieciątka Jezus dokonał operacyi całkowitego wycięcia krtani wraz z nagłośnią, według metody Hahna, na osobie Cyryla Pawluszaka, liczącego lat 49. Jest nadzieja, że chory wyzdrowieje.

Marki pocztowe nowego stempla ukażą się w obiegu od 13 stycznia 1888 r.

Komisye sanitarne, delegowane do rewizyi różnych zakładów jadłodajnych, oprócz szczegółowych oględzin kuchen i naczyń, mają na przyszłość obowiązek sprawdzania dobroci potraw, napojów itd. W wypadkach wątpliwości artykuły spożywcze odsyłane będą do rozbioru chemicznego, a w razie wykrycia zawartości szkodliwych dla zdrowia, właściciele zakładów pociągani będą do odpowiedzialności sądowej.

Prasa. Nową redakcyę *Gaz. rzemieślniczej* stanowią pp. Heppe i Martynowski. Pismo to wydawać będzie album rzemieślnicze w celu podawania najlepszych wzorów rękodzielniczych.

— *Gazeta radomska* przeszła na własność p. Wróblewskiego, dziennikarza warszawskiego.

Bibliografia H. Fawcett. *Praca i zarobki*, tłom. Ign. Świętochowski, str. 127. Tłomacz przeznaczył dochód z rozprzedaży tej książki na korzyść szpitala praskiego.

Gość, kalendarz (na r. 1888) dla ludu, opracowany przez K. Promyka, zawiera treść bogatą, zebraną nie przypadkowo, lecz według pewnego planu i celu. Jest to opis całego roku pod względem zjawisk atmosferycznych, urodzajów, zjawisk społecznych, wiadomości o nowych prawach, wykład o lunacyach i zaćmieniach, cała nauka pszczelnictwa, podzielona na 12 miesięcy itd.

Gwałtowne trzęsienie ziemi dało się uczuć w kilku miejscowościach Grecyi.

Ogromne pożary lasów szerzą się w dolinie Missisipi. Dym zakrywa słońce. Śród ludności panuje wielka trwoga.

Archeologia. Dr. Schlieman na wyspie Cerigo rozpoczął odkopywanie świątyni Wenus.

— Z Cosensy donoszą, iż rozpoczęto tam pod kierunkiem archeologa i inżeniera roboty około odkopania miasta Sybaris, którego epoka rozkwitu przypada na czasy powstawania Rzymu.

Sztuka. Obraz Henryka Siemiradzkiego „Chopin w salonie ks. Radziwiłła," przybył na wystawę Sztuk pięknych w Warszawie. Tamże umieszczono „Zatokę śmierci" Juliusza de Payera, malarza, odtwarzającego sceny z wyprawy do bieguna północnego Johna Franklina i jego towarzyszów. Artysta dla studyów sam odbył niebezpieczną podróż. Na przylądku Victory znalazł dokument losu Franklina, stwierdzający odkrycia poczynione przez załogę w latach 1845 i 46.

W odczytach na rzecz Osad rolnych wezmą udział profesorowie krakowscy: Stanisław hr. Tarnowski, Kazimierz Morawski, J. Rostafiński, M. Sokołowski, M. Straszewski, M. Flerich, Edmund Krzymuski, Cisowski, O. Fabian; warszawscy: H. Łuczkiewicz, dr. A. Fabian, dr. Jędrzejewicz z Płońska.

Sposoby niemieckie. Dzieła literackie zagraniczne nie mają dotychczas w Rosyi prawa ochrony własności. Pomimo to niemcy ukuli na prędce monopol. Księgarnia Mellina i Neldnera w Rydze nabywa za pośrednictwem agentur dramatycznych prawo własności na państwo ruskie dzieł wydawanych w Niemczech. Tym sposobem firma ta nie pozwoli korzystać innym bezpłatnie z przekładów i przeróbek.

Zapis. W Odesie zmarł filantrop tamtejszy, Ignacy Bagieński, przyjaciel ziemi szlązkiej. Na trzy tygodnie przed zgonem wysłał pod adresem Pawła Stelmacha 10,000 rs. na założenie szkoły w Cieszynie. Czytelni cieszyńskiej zapisał swoją bibliotekę wartości dwóch tysięcy rubli. Na rzecz Tow. katolickiego w Odesie przekazał dom w cenie 30,000 rs., a dochody z niego mają być użyte na stypendya i utrzymanie biedaków. Warszawskie Towarzystwo dobroczynności i dom paralityków otrzymały legaty po 5,000 rs.

Zmarli. Stanisław Przystański, niegdyś profesor i dziekan wydziału fizyczno-matematycznego warszawskiej Szkoły Głównej, następnie kierownik szkoły handlowej, oraz dyrektor Muzeum przemysłu i rolnictwa.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. J. H. w Ł. Prosimy.

P. H. L. w E. Dla nas tego rodzaju opisy są nieprzydatne.

P. B. w Żeniszkowcach. Żądane numery *Słowa* wyczerpane; oprócz nadesłanego należy nam się od Pana jeszcze rs. 1.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

OFIARY.

Na wpis dla niezamożnych studentów uniwersytetu:

Rs. 30, przysłane w liście z niewłaściwą propozycyą, w imieniu i z upoważnienia p. Br, uczynioną d. 19 listopada b. r. w m. powiatowem Ostrowie, składa Jan Haruszewicz, lekarz z Łomży.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Ноября 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.